

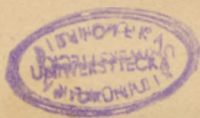
38
LUDWIK STRASZEWICZ. 57.



FANTAZYE.

W OGRODZIE OLIWNYM.
NOCNA GAWĘDA. — NA PUSTYNI.
FRAGMENT.
ZA SPRAWĄ MIŁOŚCI. — G. M. B.
PÓŁPÓSCIE. — NIEPRZEJEDNANI.

PETERSBURG.
K. GRENDYSZYŃSKI.
1895.



476099

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCYCA I SPÓŁKI, POD ZARZ. J. GADOWSKIEGO.

W. 1404/25

Il n'y a rien de réel du monde qu'aimer.

(Mme de Staël).

Il faut chercher sans cesse le vrai pour instituer le bon d'après la conception du beau.

On se lasse de penser et même d'agir, jamais on ne se lasse d'aimer.

Le bonheur privé et le bien public dépendent beaucoup plus du coeur que de l'esprit.

L'unité humaine ne peut résulter que d'une juste prépondérance du sentiment sur la raison et même sur l'activité.

(Auguste Comte).

W OGRODZIE OLIWNYM.



Znowu sam... Niema ich... Posnęli!.. Wyteżam
wzrok i widzę się osamotnionym aż do sko-
nania!

Jak przyjaciele moi, tak siły moje mnie opu-
szczają. W boleściach i pragnieniu czuję się coraz
słabszym i nędzniejszym. Skąd czerpać moc życia
i walki?

Śmiertelny, pokusom podległy, tarzam się w pro-
chu. Zwalony niemocą, wołam: weźcie kielich ofiarny
odemnie, zdejmcie ciężar odkupienia z bark moich,
bo oto upadnę, a z męki mojej życie nie wykwi-
tnie; cierpię, a z cierpienia myśl i chęć się nie na-
rodzi! Siły mnie opuszczają!

Droga odkupienia długa, jak wieki przyszłe,
a dni człowiecze policzone. Zwycięstwo po za koń-
cem świata się kryje, a ulegać i korzyć się sro-
motnie dla niego trzeba bezustanku i wytchnienia.
Powietrzem jest mi tryumf nieprzyjaciela. By ufać

i wierzyć muszę być dla świata jako głuchy i ślepy,
a słuchać jedynie złudzeń duszy.

Gdzie pierś śmiertelna, co to wszystko znieść
zdoła?

Dokoła nikogo, coby godzien był nocy bezsen-
nych, dni w udręczeniu spędzonych, boleści i upo-
korzeń. Nikogo... nikogo!.. Z tysięcy ich wy-
brałem, ukochałem niby braci, z prochu ziemi wy-
rwałem, miłością prawdy i dobra natchnąłem. A oni,
uniesień czecznych pełni, opuścili mnie! Opuścili, gdy
z wątpienie pastwi się nad omdlewającym, mózg
szarpie, serce rozrywa! Dla kogóż więc cierpię?

O, czemużem się raczej nie urodził jako ci, co
własny głód tylko czują, co obok boleści spać mogą
spokojni i bawić się wśród łez i złorzeczeń!

.....
Nie... nie...

Ludzkości! Wyrodny, kto na krótką choćby
chwilę omdlenia zapomnieć zdolny o Tobie, matko.
Godzien, by mu czezość serce trawiła, godzien ka-
tuszcy upadku bluźnierca, co wątpić może, kiedy
Ty, wielka, żyjesz, cierpisz, pracujesz. Gdy obraz
Twój blaskiem słonecznym zajaśnieje w duszy mo-
jej, zmęczenie opuszcza mnie jak sen ciężki po
ocknięciu, a słabość niewiary, niby urojenie dzie-
cinne, budzi uśmiech litości. Gdy zatapiam wzrok
w obliczu Twojem, promienie siły i wiary płyną

do serca mego. Ani mnie słabość zmoże, ani prze-
szkody przerażą, ani samotność pokona. Pełen mocy,
wznoszę czoło i śmiały wzrok dopatrzeć nie może
nieprzyjaciela, coby godzien był potęgi, wysanej
z wiekuistych cierpień, nadziei i czynów.

Walk i upokorzeń pragnę, bo wiem, żem w imię
Twoje niewyciężony.


Czem wobec Twojej wielkości jest chwila ży-
cia człowieka!

Dziecię przeszłości Twojej, dla przyszłości
wszystkie siły mej duszy i ciała oddać pragnę, bo
serce moje nierozdzielnie przyrosło do dziejów ży-
wota Twego. Krótkie życie, pasmo udręczeń, bez
Ciebie byłoby jak dolegliwość bez nadziei uzdro-
wienia.


Od pierwszej chwili istnienia jedno uderzenie
serca nie przeszło, bym nie korzystał z dobro-
dziejstw pracy Twojej.

Jak gołębicą, z arki wypuszczoną, gałązki je-
dnej odszukać nie mogła, ani dopatrzeć listka, wy-
nurzającego się z nieprzerwanej nieskończoności
i wód — tak oczy moje, błędząc dokoła, drobnego
punktu odnaleźć nie zdołają, któryby nie był dzie-
łem opiekuńczej ręki Twojej, śladem mądrości Two-
jej. Wzrok jak do arki wraca do głębi ducha —
tam również wszystko, co godne życia, z Ciebie
początek swój wzięło.

Bądź błogosławione źródło szczęścia jedyne!
Chwała Ci, Opatrzności ziemskiej! Cześć Ci, rodzicielko uczuć wzniosłych i czynów szlachetnych!
Cześć Ci za to, że nie jest jako płaz, co piersią ziemi dotyka, a zatrutym zębem wszystko pastwą swą uczynić pragnie; że nie jest jako robak, w sobie zamknięty, bez miłości i nienawiści, jako roślina o swym bycie niewiedząca, — lecz, że cierpię i boleję, że piję rozkosz nadziei, że zdjęty zwątpieniem, korzę się we łzach i prochu, przeklinając i błogosławiąc dzień urodzenia! Cześć Ci za to nieśmiertelna!



GAWĘDA NOCNA.



(Noc. Ulica Marszałkowska, w chwilę po zgaszeniu latarni miejskich).

Domek z facyatką (przyciszonym głosem): Sąsiedzie! Sąsiedzie!

Domek pod filarkami (równie przyciszonym głosem): Waść dziś znowu nie śpisz?

Domek z facyatką (j. w.) A, bo to jegomość nie wiesz, od starości wszystko ucieka: ludzie, życie, to i sen ucieka.

Domek pod filarkami. Waści zawsze jakieś fraunki w głowie.

Domek z facyatką. Szczęście jegomości, nie widzisz nowej kamienicy, co postawili od Chmielnej. Ja się na nią patrzę i wszystkie okna, znaczki, gzemasy na białych ścianach migają mi w oczach, jak głoski na wyroku śmierci.

Domek pod filarkami. Czy ja się mało napa-trzyłem!

Domek z facyatką. Jak też jegomość myślisz, prędko na nas kolej przyjdzie?

Domek pod filarkami. Oj przyjdzie, przyjdzie!

Domek z facyatką. Straszno. Co ranek, jak idą robotnicy na robotę, drzę, że się zatrzymają przedemną, zaczną rąbać i rozrywać!..

Domek pod filarkami. Mnie bo tam już wszystko jedno. Mam tego dosyć.

Domek z facyatką. Ciężko to, ciężko, mój jegomość.. Czasem to mi przychodzi na myśl: a nuż jednak pożałują nas. My przecie ostatni na ulicy, bodaj i w całym mieście ostatni.

Domek pod filarkami (z oburzeniem). E... wstydz się waść, ku ziemi dążysz, a w czubku jak na straganie. Widziałeś waść, żeby noc choć sekundę ustąpiła dniowi, gdy na nią kolej przyjdzie? Co musi być, tego ani prośbą, ani skargą nie powstrzymasz. Ostatniśmy na ulicy? Tem gorzej, tem gorzej, mocniej kłujem w oczy. Co?

Domek z facyatką. Już ciż prawda, ale...

Domek pod filarkami. Niema ale! Małoś to się nasłuchał skowyczenia psów, co zdychały pod waścią ścianą z głodu i zimna. A cóż one zawiniły, co?... zęby spróchniały, nogi zeszywniały, płuca wyschły na wiernej służbie, więc kopnąć darmożjada!.. Co, inaczej się dzieje?

Domek z facyatką. Dzieje się, dzieje!

Domek pod filarkami. A czy tylko to? Wezoraż przywłókł się jakiś żebrak na nocleg pod filarki. Położył się, usnąć nie może...

Domek z facyatką. Jak my z jegomością.

Domek pod filarkami. Zaczął szeptać starowina: „Na to mi przyszło... Służyłem, póki sił starczyło... służyłem... wszyscy moi służyli... poginęli! Nikogo już niema... niema kąta własnego“. Myślisz waść, że choć pies uwagę nań zwrócił! Ale to lepiej, boby go do cyrkułu zawiedli. Wstał i powłókł się dalej. Na starość bez dachu, bez ręki ludzkiej.

Domek z facyatką. Bo też u tych ludzi to miłosierdzie twardsze nieraz, niż sen mego stróża, nie go nie obudzi.

Domek pod filarkami. A to czegoż się waści jakieś nadzieje śnią?

Domek z facyatką. Ciagle mi przed oczyma stoi, jak burzyli sąsiadów. Okropna rzecz! Wbijają siekierę w bok, między deski, i podważają, szarpia, a to wieki leżało jedno obok drugiego, zrosło się, jakże ma nie boleć? Strasznie boli! Jeden kawałek drugiego się trzyma, jeden drugiego nie puszcza, zgrzyta i jęczy. Nareszcie oderwą deskę, ale się trzyma jeszcze na resztkach pordzewiałych gwoździ, drży, gwoździe skrzypią, opierają się, nie nie pomoże, deska upada ciężko na ziemię. Wry-

wali podłogi, rozrzucałi i bili dachówkę, łamali belki... Pękały ściany, pył się wznosił... gruz tylko został... Patrzałem na to, zdawało mi się, że syn matkę szarpie. Pomyśl tylko, jegomość, że i ciebie i mnie toż samo czeka. I mnie i ciebie tak rąbać, tak rozrywać będą. Modlę się, codzień się modlę, żeby lepiej ziemia się zapadła, żeby otchłań nas pochłoneła, niż doczekać takiej chwili.

Domek pod filarkami. Waść bo zawsze zbyt czuły byłeś.

Domek z facyatką. A jegomość to przyznać się nie chcesz, że i tobie ciężko. Przyzwyczało się do tych ludzi... pokochało, no... no... to... gdzież tu można obojętnie patrzeć; boć powiedz, jegomość, przecie to praca ojców. Czy się godzi tak nie szanować?

Domek pod filarkami. Tere-fere, bredzisz waść. Jak nas zburzą, to kamienicę postawią, a co kamienica, to nie waścina facyatka.

Domek z facyatką. Jać przecie rozumiem. No, niechby burzyli, niechby stawiali kamienice, ale przecie tyle się schroniło ich od chłodu i słońca, tyle się ich narodziło wśród ścian naszych, tyle pomarło... niechby choć który pożałował.

Domek pod filarkami. Ot, zacheiałeś waść...

Domek z facyatką. Tyle się widziało ich rado-

ści, łez, boleści, powinni mieć przecie jakieś poszanowanie.

Domek pod filarkami. Widziało się, widziało... Dużo różnych jasnych i chmurnych dni minęło nad nami.

Domek z facyatką. Ba... ba... Nie zapomina się tego. A jednak zburzyć nas chcą, nas, ostatnich świadków tego wszystkiego! Ile pamiątek przylgnęło do ścian naszych!

Domek pod filarkami. Relikwii.

Domek z facyatką. Czy też to komu przyjdzie na myśl, jak z nas tylko kupa rumowiska zostanie?

Domek pod filarkami. Cieszyć się będą, że ostatnie budy z ulicy znikną.

Domek z facyatką. Jak sobie zacznę przypominać stare dzieje i to wszystko, na com patrzył, to żal mi tych biedaków, co tu mieszkali, pracowali i pomarli.

Domek pod filarkami. Ahaha!

(Chwila milczenia).

Domek pod filarkami. Mieszkał tu u mnie coś przez trzy czy cztery lata staruszek, musisz go waść pamiętać, często przechadzał się po ulicy z takim grubym kijem, czapka na oczy, zamyślony.

Domek z facyatką. Co to się spalił potem?

Domek pod filarkami. Nie!.. chociaż ten też,

ale mówię o innym: taki siwiutki był jak gołąbek, a brodę miał jak u świętego Józefa. Nie pamiętasz waść? Prawda, że gdy nas tyle było, to jeden o drugim mało co wiedział. To był jakiś teolog, albo filozof, mieszkał od podwórza na górce. Ciągle czytał i pisał, a miał taki piecyk żelazny, obstawiony flaszkami, rurkami, rynkami, zawsze w nim coś warzył, przelewał, patrzył pod światło, za okno wystawiał. Książki i gazety to leżały dokoła ścian, jak towary w sklepie. Nieraz czyta, czyta, potem zrywa się i chodzi po pokoju, rozwodzi rękami, mruczy coś, głową kręci. Na ścianie koło łóżka wisiał duży krucyfiks; jak się czasem rzucił na kolana, ujął z całej siły głowę w dłonie, to godzinę i dwie klęczał, bez ruchu, bez drgnienia, jak kamienny; brał krzyż, cisnął do ust, do piersi i tego dnia już ani czytał, ani pisał. A znów innym razem, to krzyż ten wala się gdzieś na półce: jak go napatka, potrafi niby wiór na drodze.

Był bardzo biedny. Czasem rosół sobie w rynce ugotował, albo mleka kupił, a chleb zawsze był stary i taki twardy jak dachówka. Ale i tego, widać, brakowało, bo coraz to wynosił jakie rzeczy i wracał z dziesiątkami w kieszeni. Z postania nie zostało nic, a ubrania tyle tylko, co na sobie. Podłoży książki pod głowę i śpi w ubraniu na gołych deskach.

Był bardzo nieszczęśliwy! Wyjdzie na ulicę, to się śmieją z niego, urągają, a nieraz pauper i kamieniem puści. Nikt się nie zatroszczył nigdy, co on tam w głowie i w sercu nosił, od czego twarz mu się pomarszczyła, od czego włosy zbierały. Obey był na świecie... Uciekał też i krył się do swojej izdebki, do swoich flaszek i książek, do głodu i do tych myśli, co mu były męczarnią, ale może i szczęściem. Biedny samotnik!

Raz głód mu widać dokuczył, chciał zanieść książkę na żydy, wybierał długo... wybrał jedną, patrzył na nią rzewnie i żałośnie; zdaje się, że łzy mu się w oczach zakręciły, potem szybko złożył, wsunął pod pachę, naciągnął czapkę, kij w rękę... Ode drzwi wrócił. Położył, wziął inną i tę położył i tak kilka razy, aż nareszcie ostatnią całował, jakby przeproszał za zamiar bluźnierczy, i usiadł do pracy... Siedział może ze trzy godziny, potem wstał i położył się na łóżko. Leżał dzień cały, tylko mu się oczy świeciły; dopiero nazajutrz koło południa zaczął stękać, wreszcie jęczeć... ale coraz słabszym głosem, ciszej... ciszej... potem słyszeć było jakby tylko kwilenie słabiutkiego dziecka a... a... a... i... i... i... ale takie przenikające, takie bolesne, gdzieś z pod samego serca; aż i to zamarło... umilkł zupełnie, oczy zostały otwarte, ale blask ich zniknął.



Pomyśleć tylko, co za straszne musiało być konanie tego starca. Boleści go szarpały, a co się działo w głowie? Czy nie żałował życia, które przeszło bez plonu, chociaż w trudzie ciężkim i biedzie? Czy nie żałował tych pragnień, których celu nie osiągnął? Czy nie żałował tych mar, które go całe życie wiodły po twardej grudzie i nigdzie nie zawiodły? Pomyśl tylko waś, to straszna rzecz umierać, widząc, że niedalekie były chwile tryumfu, a nie zostawia się nic dla nikogo, że poświęcenie doprowadziło tylko do bezsilności, męki i rozpaczy. Czegom ja żył, pocom cierpiał? — okropne pytanie w chwili zgonu.

A tu cisza i pustka, znikąd pociechy, znikąd ratunku, po któryby teraz rękę wyciągnął, o który błagałby może, choć go dawniej dumnie odtrącał. Gdyby się śmierć odwrócić jeszcze dała... jakakolwiek pomoc ludzka... znikąd ratunku!

Przez parę dni leżał, dopiero poczytłion przyszedł z gazetą. Odbili drzwi i zaraz ludu zwaliło się co niemiara. Chwyтали, rozrywali książki, flaszki. Jakiś młody rzucił się naprzód na papiery zapisane, aż ręce mu się trzęsły; wszystko zabrał i jeszcze flaszek z za okna do kieszeni napchał.

Domek z facyatką. Biedny starowina. Wiesz jegomość, to pewnie był jaki wielki uczony.

Domek pod filarkami. A cóż waś myślisz, może być.

Domek z facyatką. U mnie znowu, uważasz jegomość, już blisko czterdzieści lat temu, najął trzy pokoiki jakiś, jakby szlachcic ze wsi, a jak się potem dowiedziałem, urzędnik z Komisji Skarbu. Jeszcze się nie sprowadził, a już zaczął szykować mieszkanie jak na paradę: wybielił, wymalował, meble świeżuteńkie postawił i wciąż coś nowego dodawał, szykował, żeby to piękniutko było. Sam jeden tylko był, a patrzę, wszystko urządzono, jakby miał rodzinę... i łóżko drugie przynieśli. Ehe, żeni się panicz — myślę sobie. — Istotnie, było już może koło 4—5-tej zrana, słyszę turkot, jadą karety, powozy, z jednego wysiada mój lokator i prowadzi kobietę w bieli: panna młoda! Pożegnali się z towarzystwem i poszli do sypialni. Wiesz jegomość, dużom się napatrzył w mojem życiu: i na miłość, i na zaloty, i na umizgi, i na młode małżeństwa, ale czegoś takiego, tom jeszcze nigdy nie widział. I chychotałem i płakałem. Co oni tam nie wyrabiali, nie wygadywali! No, wiesz jegomość, mnie, no mnie, a zazdrość brała, jak oni się kochali. Klękali przed sobą, przysięgali sobie wierność, szczerłość, pomoc, ufność... e... już i nie pamiętam nawet co, potem i o dzieciach mówili, że je będą wychowywać, jak nikt dotąd!.. Roku

nie uszło, patrzę, jedzie kolebka. Urodził się chłopiec; co tam było uciechy! Matka nawet niańki wziąć nie chciała, tylko wciąż sama koło niego. Chłopak rósł jak na drożdżach. Com ja się nie napatrzał i nie naradował z tego chłopca! Rozumniejszego dzieciaka nigdy nie widział. A urwis! co on tu sobie guzów natłukł o progi, o drzwi, o stolki. Ale obok radości i smutku także było niemało. Chłopak trzech lat nie miał, jak ojciec umarł. Domyślasz się jegomość, jaka rozpacz chwyciła biedną kobietę. Namawiali, żeby wzięła inne mieszkanie. A ona nie i nie! „Tu — powiada — całe moje szczęście minęło, tu życie moje całe przeszło!”

Na świecie został jej syn jeden tylko; czuwała i pielęgnowała, dotknąć się doń nikomu nie dała. Chłopak w nocy na łóżeczku się przewrócił, to się już drżąca zrywała, jakby chorobę odegnać chciała. Raz, pamiętam, malec długo zasnąć nie mógł: stękał, skarżył się na ból głowy. Matka nie odchodziła od łóżka. Myślała pewnie, że zasnął, bo się uspokoił. Aż nagle chłopak się odwraca, zesztywniały, siny, oczy w słup, twarz wykrzywiona; z ładnej twarzyczki dziecka zrobił się potwór, którego się własna matka ulekła. Ale się przemogła, poczęła cucić, chwyciła na ręce. Jakoś przeszło. Ubiegło dwie godziny, znowu ten sam straszny na-

pad, potem znowu i znowu, cały dzień, całą noc. Po każdym ataku matka padała bezwładna, zdawało się, iż żadnej siły w niej nie zostało, ale po chwili pochylała się znowu nad łóżeczkiem, gotowa nosić piastować jedynaka. Wszystko szczęśliwie w końcu minęło.

Kiedy już się wynosić trzeba było koniecznie, rozstać się z mieszkaniem nie mogła, całowała drzwi, ściany, progi. Wszystko jej drogie było, wszystko przypominało męża, tu spędził pierwsze dni życia jedynak. Potem już, rozumie się, więcej ani jej, ani chłopca nie widziałem. Ale teraz, wyobraź sobie jegomość, słyszę jak tego żyda, co ma w przybudówce antykwarnię, coraz to się ktoś pyta o dzieła autora ze znajomem mi nazwiskiem. Ale to mówię jegomości, ciągle i ciągle o tego samego się domagają. A żyd zaraz odpowiada:

— Nu, taką książkę chce pan w antykwarni dostać, taką książkę, nu, to pan w księgarni nie dostanie, ani u Gebethnera, ani u Orgelbranda; co zrobią nowe wydania, to zaraz rozkupią. A ile pan da, jak ja się wystaram?

Dużo nazwisk się w życiu słyszało i nie można pamiętać, kto jakie nosił, ale jak mi ciągle powtarzają, więc zacząłem przypominać i przypominałem, że ten urzędnik z Komisji Skarbu, to tak się właśnie nazywał, a imię syna było akurat takie,

jak to, o które pytają. No patrz jegomość, ten malec, ktoby się był spodziewał, wyrósł na znakomitego pisarza i dziś jest sławą całego narodu!

Domek pod filarkami. Nie każdemu tak się powiedzie. To u mnie, dawno już bardzo — jeszcze byłem paradnem domostwem — mieszkał, gdzie to owalne okno w strychu, na prawo, młodzik jeden, jak dziś pamiętam, wysoki, chudy, z oczyma jak błyskawice. Spojrzeć było na niego miło. Widziałeś, waść, że jak ten chłopak zechce, to gwiazdy z nieba dostanie. Życie, siła biły mu z oczu. Bo i kogo życie mogło wabić ponętniej. Przed nim świat i przyszłość stała otworem, wielkość, sława, wszystko. Co mu mogło émić radość i nadzieje, co trapić go mogło, jaki zawód? W takim wieku gdzieindziej życie ceni się po nad wszelkie ukochanie.

Nocował tylko, w dzień go nigdy nie było. Przyjdzie o północy, rzuci się na łóżko i śpi jak zabity. Rano, ledwo się trochę rozwidni, już go niema. Aż raz pamiętam, w wielki czwartek umarłego niosą; myślałem, że umarł, ale nie. Leżał w łóżku, a jak tylko kto przyjdzie, zrywa się zaraz i pyta: a co słyhać? A zawsze opowiadał i przekonywał, że się wszystko dobrze skończyć musi. Jedna chmurka zwątpienia przez czoło mu się nie przesunęła: gdzież zwątpienia ostaćby się mogły

przed taką potęgą siły, życia, młodości i zapału. Ale pod koniec lata posmutniał mój panicz, stał się taki ponury, jak gradowa chmura. Wyszedł raz na miasto i wrócił niedługo. Wtedy to rodzona matka by go nie poznała. Ludzie go spotykają, a on, czy mój filar, to jedno: drewno, kamień. Wszedł do izdebki, usiadł i siedzi jak martwy, żeby choć słowo, żeby się poruszył — nic. Nawet oczy błyszczeć przestały. Siedzi i siedzi. Ściemniało się na dworze. Noc była czarna jak piekło, a wicher huczał i wyl, jakby świat cały rozpacz szarpała. Zdawało się, że do okien przypadały mary jakieś i straszny gło-sem zawodziły... O północy poruszył się, powstał i zatoczył się, przeszedł po pokoju raz tylko, złapał się za głowę i głucho jęknął. Potem zaraz usłyszałem rżenie konania.

Domek z facyatką. A słowo stało się ciałem!

Domek pod filarkami. Na drugi dzień jak przyszli, znaleźli go bez życia... poderżnął sobie gardło. Krew rozlała się daleko po pokoju, wsiąknęła w drzewo i do dziś dnia resztki jej zostały pod podłogą.

Domek z facyatką. Niech mu światłość wiekui-sta świeci.

Już może z jegomościwego młodzika i prochu nie zostało, jak tu do mnie do kawiarenki, do oddzielnego pokoiku schodziło się trzech jakichś. Nie

wiem, co oni byli, ale chyba tędzy ludziska. Bywało, zejdą się i radzą i radzą... Czasem tak się pokłóca, że aż przyskakują do siebie. Jeden szczególniej to był jurny, pamiętam jak dziś, mały, krępy, a czuprynę to miał zupełnie jak włosy z materaca, o byle co do oczu skakał. Ale czasem gadali zgodnie i cichutko, głowy wysuną wszyscy do środka na stół, jak ryby do przerebli, i radzą, a oczy wciąż zwracają. Nieraz to sobie opowiadali tylko o wypadkach różnych, ale najczęściej to jeden przynosił papiery, jakieś gazety i czytali, a kilka razy to nawet sami pisali. Lecz co się dzieje — jednego wieczora mówili z sobą dłużej i ciszej; potem jeden powiada: „Wiecie co, może się już nie zobaczymy, Bóg wie, co się z nami stanie, wypijmy na pożegnanie i na pomyślność“... Kazali zaraz sobie dać butelkę wina, tręcili się. Przysięgli, uścisnęli sobie ręce, ucałowali się, i zaraz wybiegli. Ani następnego dnia, ani za tydzień, ani za miesiąc, ani za rok, ani za dwa nie przyszli. Już kawiarnię zwinęto i z lokatorów starych nikt nie został; patrzę — idzie ktoś ulicą stary, biednie odziany, bez ręki i bez oka, idzie, rozgląda się po ulicy. Potem zaczął się przypatrywać, a ja patrzę, coś jakby znajomego; przypominam, ktoby to mógł być taki i... wyobraż sobie jegomość, poznaję tego jurnego z materacową czupryną. Wszedł do sieni, lokal po

kawiarni był akurat wolny i drzwi otwarte, bo malowali nanowo; on się wsunął do pokoiku, spojrzął dokoła, zachwiał się i oparł o ścianę. Kula z hałasem upadła na podłogę. Ręką, co mu została, zasłonił oczy i łkanie zaczęło nim wstrząsać.

Patrząc na jego łachmany, na jego sponiewieraną postać, myślałem sobie, że człowiek ten w niedzy stwardnieć musiał jak cegła w ogniu, że los już dawno porozbijał wszystkie nadzieje jego życia, a teraz człowiek ten łkał bezsilny; wiesz jegomość, coś strasznego pierś mu aż rwało!

Uspokoił się, słyszę, szepece:

— Wszystko minęło, ich niema, nikogo niema.

Znowu załkał i znowu szepece:

— Bracia moi, musiałem być gorszy od was, bom dotąd na grób sobie nie zarobił.

Domek pod filarkami. No i cóż się z nim stało?

Domek z facyatką. Powlókł się, ale przyszedł nazajutrz i codzień przychodził, a jak nie można już było zaglądać do środka, to powstał choć naprzeciwno i chwilkę popatrzał. A codzień, powiadam jegomości, był smutniejszy i czarniejszy na twarzy, i codzień chylił się niżej, jakby do ziemi spieszył. Potem go już nie widziałem.

Domek pod filarkami. Umarł pewnie gdzieś w szpitalu.

Domek z facyatką. Żeby choć w szpitalu.

Domek pod filarkami. A nie krzyez-że tak waść.

Domek z facyatką. Niejeden z tych nowomodnych panków, co nas za nic nie mają, sto i dwieście lat stać będzie i tyle przez całe swoje życie nie zobaczy, co my! A tak się dma!

Domek pod filarkami. Cicho-że waść bądź.

Domek z facyatką. Czegóż mnie jegomość tak strofujesz, kogóż się mam bać?

Domek pod filarkami. Na co nas kto ma słyszeć? Chociażby i kamienice, jak się pobudzą, to śmiać się będą.

Domek z facyatką. Śmiać się z nas, a cóż to my takiego?

Domek pod filarkami. Alboż waść nie wiesz, że młody starym rad poniewiera, a wprzód się śmieje, nim zrozumie, co życie nauczyło. Zdaje się, że już i słońce wschodzi?

Domek z facyatką. Aha, już gzemсы na nowej kamienicy zamigotały.

Domek pod filarkami. No, to cicho.

Domek z facyatką. Do przyszłej nocy!

NA PUSTYNI.

„A oto niektórzy z synów izraelskich przyszedł i przywiódł do braci swej madjanitkę, przed oczyma Mojżeszowemi i przed oczyma wszystkiego zgromadzenia synów izraelskich; a oni płakali przed drzwiami namiotu zgromadzenia. Co gdy ujrzał Finees, syn Eleazara, syna Aarona, kapłana, wstawszy, wziął oszczep w ręce swoje. A wszedłszy za mężem owym do namiotu, przebił oboje, męża izraelskiego i niewiastę...

„Rzekł Pan do Mojżesza: Finees odwrócił gniew Mój od synów izraelskich, będąc wzruszony zapalczywą miłością ku mnie, tak iżem nie wytracił synów izraelskich w zapalczywości mojej“.

4. Mojżesz. Rozdz. XXV.

Mojżesz się już zestarzał. Jak ołtarz po zgaszeniu ofiary, tak wyziębło ognisko ducha jego.

Moc gniewu, który niegdyś w ziemi geseńskiej powalił egipcyanina, a u studni w ziemi madjańskiej krzywdzić nie dozwolił córek kapłańskich, była dzisiaj mglistem widziadłem pamięci.

Przyémione oko nie zapłonie już blaskiem surowego sądu, jak w dzień on, kiedy potrząsał tablice przykazań Pańskich, a przywoławszy lewity do boku swego, bratu zabijać kazał brata, przyjacielowi — przyjaciela, bliźniemu — bliźniego.

Na wywiedłych policzkach jego od łez rdza osiadła. W uszach głos Pański huczy mu jak łoskot gromu: słów rozpoznać nie może, rozkazów nie rozumie. Nie zna już ludu swojego. Młodzież, co się na pustyni porodziła i wyrosła, snuje mu się przed oczyma i miga: wszyscy jednak szarzy — niby stado przepiórek; odróżnić jednego od drugiego nie umie — ani twarzy ich, ani głosu ich, ani dusz ich, co się różnią bardziej niż twarz i głos i postać.

Głowa mu się trzęsie, jakby biadał wiecznie nad niedolą i nieprawością narodu izraelskiego.

W chwili walki podnosi jeszcze ręce i błogosławi, ale Aaron i Chur podpierają muszą ramiona jego.

Czas mu schodzi na modlitwie i rozmyślaniach. A w sercu jego ciemność czarna. Widzi, że po złem gorsze następuje; że między ludem niema już bojaźni Boskiej. Jak niegdyś z woli Pańskiej, a za jego rozkazem, wypełzło robactwo plugawe i napełniło mieszkania egipskie, wniszło do komory łoża ich, i na pościel, i do domu sług ich, i między lud egipski, i do pieców, i w dzieże ich — tak teraz niema schronienia przed nieprawością, a grzech stał się jako powietrze i woda, jako pokarm i napój, jako przyjaciel i żona, jako rozum i modlitwa.

Coraz gorzej! Przygasłe oczy Mojżesza nie widzą nic, jeno zelżywość i upadek.

A kiedy serce jego osłabnie od myśli ciężkich i strapienia nad miarę, wznosi ku Panu zamglone źrenice i drżące dłonie:

— Pocóżes mi, o Panie, kazał lud ten wywodzić z ziemi egipskiej? Oto już wolni są lat tyle, a nie okrom złości nie okazali Tobie.

„Pocóżes, Panie, cały ciężar ludu tego włożył na śmiertelne barki moje? Izalim ja począł ten wszystek lud? izalim ja go zrodził, iż mi mówisz: nieś go na łonie twojem, jako piastun nosi niemowlę — do ziemi, którąś przysięgał ojcom ich.

„Pocóżem ja tylekroć w boleści i we łzach, w pocie i bojaźni wyciągał ręce moje i błagał, abyś, Panie, powściągnął miecz gniewu słusznego. Pocom go osłaniał modlitwą, w której płonęły dni żywota mojego? pocom w sercu jednego człowieka gromadził cierpień tyle za tę tłuszcę niesformą, dla której przeszłość martwą, sława niema, przyszłość obojętną? Ich ciała nie drżą, gdy myśl zabłądzi w te krainy, gdzie proch ziemi z prochów kości praocjów ich powstał, gdzie się narodziła ich mowa. Oni czują tylko słodycz niskiej rozkoszy i boleść popolitego cierpienia.

„Panie, Panie! Tyś lud mój nazywał ludem karku twardego! Niestety, karki ich, jako ciała węzowe, giętkie: w proch się korzą przed cielcem złotym, przed wrogiem silnym, przed rozpustnicą

powabem. Serca ich, niby wosk, bez siły i hartu: noc jedna zaciera to, co zostać winno na wieki jak przykazanie na desce kamiennej; i czytam w nich słowa, co bluźnią Tobie i katuszom niewoli egipskiej, tułaczkiej doli naszej i przymierzu, jakieś zawarł z ojcami ich.

„O, Panie, biedne są resztki dni żywota mojego, bo jeżeli zły człowiek godzin jest śmierci, to cóż wart naród, bez enoty życie trawiący?”

„Ale... ale... Panie, miej litość! Zawarłeś przymierze z Abrahamem, z Izaakiem i z Jakóbem, że ród ich rozmnożysz jako gwiazdy i dasz im ziemię.

I omdlewał stary wódz narodu swojego, oczy się zamykały, ręce opadały, i już nie myślał nic, nie czuł nic, jeno wielkie pragnienie śmierci.

* * *

Synowie izraelscy leżeli obozem na polach moabskich. Ostrzem miecza porazili już amalekitów i chananejczyków, amorejczyków i króla ich Sekona, przetoż trwoga padła na krainę od morza Czerwonego aż po morze Martwe i za morze Martwe. Jak niegdyś obłok płomienny, tak teraz strach wielki chodził przed ludem Pańskim. A kto zasłyszał imię jego — drżał, jako drży trawka i stwo-

rzenie wszelkie przed wschodem słońca. A kto zasłyszał głos trąby jego, padał martwy z bojaźni.

Nie śmiał już Baalak, syn Seforów, król moabski, wysłać w pole męże zbrojne, bo nikt w narodzie jego serca nie miał.

I leżała cała ziemia moabska, jak ciało niemocą tknięte, bez woli i ruchu, jak ofiara molochowa z pętami na rękach i nogach, czekając rychło-li w sercu chłód noża poczuje.

Starsi w narodzie nie mieli rady, wodzowie — siły.

Na błaganie Baalaka, na prośby książąt wieszcz Baalam odpowiadał:

— Z nimi moc i ręka Pańska!

I płynęły im dni, i godziny i minuty jak zwierzętom w sidłach, jak rybom w niewodzie. A kto się spać kładł, myślał, że dnia jutrzejszego nie dożyje, a kto łyżkę stawy do ust niósł, nie wiedział, czy ją spożyć zdoła.

Śmierć była bliska, jak próg namiotu, pewna, jak księżycowa odmiana.

W męczarniach strachu wił się mąż i niewiasta i nie było słyhać w ziemi całej, jeno jęk, co najtwardszą duszę rozdzierał, bo nadziei w nim nie było.

A zginąć miał nie człowiek jeden, którego żywot na lata obliczyć można. Żywot ludu jest jako

cedr wiekowy: oko ludzkie korzeni jego nie dojrzy, gałęzi i liści nie porachuje, wierzchołka nie zmierzy.

Nie zdołały uszy Baalama wysłuchać jęku tego. Przestroga Boska była mu świeżą. Wiedział, że raczejby ręce w ogień wolny włożył, trąd w krew zaszczerpił, niż o niej zapomniał.

Ale wśród boleści, co wstrząsała piersi tyśiącem, skurczyła się myśl jego i pamięć oniebiała.

Jak piasek w pustyni od słońca, tak dusza jego spieczona była od litości.

Przywołał więc króla, i starszyznę, i wodze i rzekł im:

— Pokonał Izrael amalekitów i chananejczyków i amorejczyki, ale więcej razy pokonywały go pożądliwości jego. Narody wszystkie on zmoże, ale to ci jest wróg, któremu nie sprosta.

„Krnąbrność tego ludu miłosierdzie Boskie przerasta. Ręka wszechmocna Pana utrzymać go w pokorze nie zdoła.

„Jest on jako ślepy, który łaski nie widzi, a chciwość jego jako morze bezdenne. Ileż razy bluźnił on bez rozumu i pamięci, ile razy rozpałał popędliwość Pańską dla obżarstwa i łakomstwa swojego.

Podobien on dziecku bezrozumnemu, co zachcianek swych miarkować nie umie, co złota od

miedzi nie odróżni. Podobien stołowi bez nogi, którego lada trącenie przewraca. Podobien chmurze letniej, z której raz ogień wybucha, drugi raz woda spływa.

„Nie podołacie odeprzeć go mieczami, ale rozpalcie w nim pożądliwość, a słaby i bezbronny, niby człowiek winem zmożony, tarzać się będzie u nóg waszych!

W skupieniu słuchali król i starszyzna moabska słów Baalama. Ale nie rozjaśniła się twarz ich radością, w oczach nadzieja nie zaświeciła. Rozumieją słowa wymowne, ale ratunku nie widzą. W zmarszczkach ich twarzy, wychudłych w strapieniu, wyczytał wieszcz pytanie i prośbę:

— Radź dalej!

Przetoż znowu mówić począł:

— Wiecie wy dobrze, mężowie moabsy, co jest ogniem i oliwą na pożądliwości ludzkie.

„Wabi dźwięk złota i blask kamieni, szaty piękne i sprzęty drogie, wiele człowiek poniecha i wiele uczyni, aby je posiadać.

„Nęci spieniony sok jagody winnej. Kto go raz miał na podniebieniu swoim, łaknie i tęskni.

„Nie zliczę ja i nikt nie zliczy, ile jest rodzajów rozkoszy, bo są one, wy wiecie o tem, mężowie moabsy, mnogie, jak zielsko na ziemi, jak fale na morzu.

„A to wam powiadam, że syn Adamowy większego wroga nad rozkosz nie spotka. W rozkoszy — pokusa i zdrada; w rozkoszy — przynęta i trucizna! Namowom przyjaciela złego rozum się oprze; napaść wroga siła odeprze; od zwierza dzikiego ostrożność broni; od ognia słonecznego namiot osłania — przed rozkoszą ni ucieczki, ni schronienia, ni obrony. Ona cię jako sen umorzy, jak choroba osłabi. Rozum wyminie, cnotę zwycięży, a z siłą twoją igrać będzie.

„Biada temu, kto się w jej sidła upłaczę!

„Pamięć jego zamierzeźnie w niemocy. Mężtwo spróchnieje niby wierzba sechnąca. Od pracy uciekać będzie, niby od niewiasty wstręt budzącej. Radzić nie potrafi, rozkazywać nie zdoła i posłusznym nie będzie — bo rozum jego zawiśnie jako rozpuszczona cięciwa. Mąż żony zaniecha, ojciec dzieci porzuci. Syn umęczy matkę swoją. Król o poddanych zapomni, kapłan lud swój, a wódz żołnierze swoje opuści, lud wyrzeknie się ziemi, która mu jest daną.

„Rozkosz jest matką upadku, a on jedynakiem jej.

„Ile zaś znajdziecie ponęt dla słabości człowieka, tyle pożądliwości obudzicie w duszy Izraela.

„Niezem on nie wzgardzi. Jest jako zwierzę

nieczyste — wszystko zwietrzy, wszystko pożreć pragnie.

„Żołądek jest panem jego. W Kibrot bunt podniósł przeciwko Bogu i wodzom, bo opętało go pożądanie mięsa. Do Egiptu — bezrozumny — nawracał.

„Ale i o tem pamiętać trzeba, mężowie moabscy, że pożądliwości ludzkie są jako struny arfy: napięte — brzmią, gdy je rozpuścić — nieme są i bezwładne.

„Trwoga wasza jest wielką, przetoż i ratunek pewnym być musi. Strzeżcie się uderzyć w strunę rozpuszczoną, bo to będzie dzień zguby waszej. Wybierzcie pożądliwość, która władzę swą inne przerasta; nikogo nie mija, głodna szaleje, odpoczywa najkrócej, nie zasypia nigdy.

„Wybierzcie pożądliwość, dla której człowiek zapomina o jadle i napoju, skąpiec rozrzuca złoto, możny plami władzę, dumny się poniża, czysty kala, tchórz staje się mężnym, a mężny tchórzem, uczciwy kłamstwa się chwyta, a potulny gwałtu.

„Pożądliwość ta nie tli się jako nacięta zieliska, lecz ogniem bucha, niby drzazga smolna.

„Wy wiecie, mężowie moabscy, w co godzą słowa moje.“

Starszyzna moabska słuchała, utkwivszy oczy w obliczu wieszca, a Baalam mówił dalej:

— Przeto udajcie się do domów waszych, przywołajcie córki, siostry i żony wasze. Niechaj ciało swoje umyją w rzece, namaszczą olejami wonnemi i przystroją je w szaty odświętne, w klejnoty najdroższe. A kiedy przyjdą synowie Izraela pod domy wasze, niech miasto króla i ludu spotkają ponęty niewieście.

„A nauczcie żony wasze, i córki wasze i siostry wasze, aby, gdy zawładną sercami synów izraelskich, odwodziły ich od posłuszeństwa Panu, aby usta izraelskie do bluźnierstw zmuszały, a kroki do pokłonów Baal-Fagorowi.

„I zmożecie wroga śmiertelnego!

Na pomarszczone czoła starszyny moabskiej cień legł. Głowy ku ziemi pochyliłi i milczeli.

Ramiona Baalama uniosły się ku górze.

— Gdybym wśród was słyszał szczyki mieczów, gdybym w oczach widział blask odwagi i iskry zapалу, które miłość ziemi i sławy roznieca, rzekłbym wam: klęska i sromota nie spada na poległych! Alem ja w jękach waszych dostrzegł tylko ukochanie życia własnego, przetom wam rozkazał ratunek, okrom którego innego niema. To jest ostatnie słowo moje!

* * *

Ruszyli mężowie izraelscy ku miastu Syttim z mieczami w dłoniach, z grozą w oku i z zawziętością w sercach.

— Upadnie na drodze naszej — wołali z całych piersi swoich — naród moabski i król jego Baalak. I wnijdziemy do ziemi Chanaan, bo ją Pan ojcom naszym przyobiecał.

Szli!... walki cheiwi i zniszczenia. Im bliżej, tem sercu w piersi ciaśniej i krok tem szybszy.

— Pan z nami! Zdruzgoczymy wrogów jego! Na miejscu świętem Baala ofiary Bogu płonąć będą!

Krzyki ich tłumią głos trąb i nie na ziemi nie słyhać, tylko gniew Izraela.

A Pan chce patrzeć na czyny i zwycięztwo ludu swojego, bo chmurka jedna nie zasłania niebu pustyni i domów miasta Syttim. Blask słońca iskier tysiącem tryska z mieczów.

Szli!... podobni do wichru, podobni do chmury, gromy i błyskawice niosącej.

W mieście moabskiem cisza, jakby tam nie prócz mogił nie było. Nie słyhać ni szczyku oręża, ni okrzyków walki. Chyba prawica Pańska poraziła wroga wprzód, nim go miecz dotknął.

— Może nie siłą — myślą wojownicy Pana — lecz pokorą i słabością pokonać nas pragną? Może zechcą błagać o litość i zmiłowanie? Ale dla wro-

gów niema litości, dla wyznawców Baal-Fagora niema zmiłowania! Śmierć i niewola!

Pod ścianami domów moabskich niewiast roje. Jedne, rozciągnięte u progów, twarz w proch ziemi wbiły. Inne o węgly domów oparły ciała omdlałe, martwe spojrzenia w dal posłały i nie masz nic, coby widzieć mogły. Inne pouisały na nogach własnych, oblicza palcami zasłaniają, lub załamane dłonie w rozpaczycy wyciągają przed siebie. Włos rozwiany, szaty stargane! Znękanie, cierpienie i rozpacz.

Zdziwienie wstrzymuje szybki krok szeregów izraelskich. Przed ciekawością ustępuje zapał i zapamiętałość. Zbliżają się powoli, wzrok ich odkrywa ponętą okrągłość kształtów i różową barwę ciała, z poza szat wyzieraające.

Wszystkie niewiasty, boleścią złamane, młode są. Odstonięte twarze jaśnieją wdziękami, jak wschód słońca purpurą.

Pytają wojownicy niewiast zbolałych o mężów i ojców. Ale w głosie ich brzmi surowość wojny.

Synowie izraelscy palcami dotykają ciała córek moabskich, aby rozeznać, czy żywe są.

Córki moabskie tulą się ku sobie i wzrok, pełen niepokoju i trwogi, wznoszą ku synom izraelskim.

Blask oka płomienistego z poza łez i rzesów długich urokiem ezaru uderza.

Mężom zbrojnym niewiasty strwożone pocieszać przystoi. Biorą synowie izraelscy córki moabskie za ręce, odgarniają stargane włosy, ocierają twarze łzami oblane.

Opór córek moabskich jest jako zabawa wdzięczny. Skóra ich od wełny jagnięcia delikatniejsza. Dotknięcie rozkosz przyrzeka, o wojnie zapomnieć każe.

Pierwszy Zamry, syn Salów z pokolenia Symeonowego, uniósł Kozbę, siostrę księżęcą. Zwiśla mu w ramionach, ręce i nogi ku ziemi opadły, głowa się w tył przechyliła. Ale w omdleniu sztywności śmierci nie było, bo członki córy moabskiej zgięciem uroczem w ponętę urosły. I wszystkie oczy izraelskie na nią patrzyły.

A ciało Kozby, jej nogi i ręce, piersi i biodra pełne były i miękkie jako owoc dojrzały brzoskwini. Gdzie się go dotknęły palce Zamry, zda się róże wykwitły. Włosy jej falą ku nogom męża spłynęły.

Patrzył Zamry na omdlałą księżniczkę i twarz mu pałała. Był zuchwalstwem pijany i drżał jak dziecię w przestachu. I ona drżała, a dreszcz jej był słaby i cichy, jak oddech jej, trwogą tłumiony. Na gładkiem obliczu jej widział Zamry puszek od mgły niklejszy, poza wilgotnemi wargami widział

biały sznur zębów. Potargana szata odsłaniała pierś różową.

Zamry twarz Kozby do ust swoich przycisnął.

Otworzyła oczy księżniczka moabska, a w nich błyszczało pożądanie rozkoszy. Usta swoje gorącym pocałunkiem spoiła z jego ustami.

Przycisnął siostrę książęcą siłą całą do piersi. Miecz rzucił i zniknął we wnętrzu domu moabskiego.

I wszczął się hałas wielki, bo wojownicy izraelscy wyrwali sobie córki moabskie i cisnęli się do łóżnie wroga swojego. Nie została niewiasta żadna i nie został wojownik żaden. A wodzowie izraelscy, Jozue i Finees, stali bezsilni bez wojska i zwycięstwa.

* * *

Dobrze się działo synom izraelskim na polach moabskich i opuszczać ich nie pragnęli. A miecze rzucone przed progami domów w Syttim, w piasek wrosły, rdzą się pokryły i grozić przestały wrogom.

A gdy kto przypomniał o Chanaan, odpowiedzieli:

— Ta ci jest ziemia obiecana, bo rozkoszy większych nie znajdzie nigdzie.

* * *

Mojżesz i sędziowie izraelscy i wszyscy starsi ludu izraelskiego płaczą w namiocie zgromadzenia.

Zgasł dzień sromoty i noc czarna zapadła. Ale oni jej nie widzieli, bo dla nich blask wszelki zniknął, gdy w Syttim miecze izraelskie padały na ziemię bezsilne, nie poszczerbione, krwią nie pokryte, pod progiem wroga.

O, bólu nieprzebolały! O, hańbo niezmierzona! O, ciosie, po którym życia niema, a pamięć i myśl została! Niema życia, bo pragnienia zniknęły, bo nadzieja wygasła, a pewność nicości ogarnęła wszystko.

Wybrańcy Boga zrzekli się zwycięstwa i sławy, zrzekli się ojczyzny... dla wonnego ciała nierządnic moabskiej. Dla rozkoszy zmysłów zapomnieli o przeszłości i o cudach, o cierpieniach własnych i mężtwie.

Mojżesz twarz w dłonie ukrył — na świat spojrzeć nie chce i nie śmie. Poza nim życie niepowrotne, przed nim tylko... mogiła!

Życia tego nie dzielił, całe oddał narodowi swojemu.

Dziecię słabe, i mąż dojrzały i starzec bezsilny — jeden cel miał na ziemi i marzenie jedno. A ginący z głodu nie pożąda tak jadła, jak on pożądał ojczyzny dla narodu swojego. A skąpiec tak złota nie pragnie, jak on pragnął sławy i wiel-

kości dla Izraela. A niewiasta nie drży tak do męża jak on drżał na myśl o Chanaan przyobiecanej. Dla celu tego i dla marzenia tego zużył wszystką siłę duszy; i prócz nich żadne pragnienie w sereu jego nie powstało. Dla nich tylko cierpiał i dla nich się radował, dla nich jadł i odpoczywał i żył tylko dla nich.

Na jawie myśl o szczęściu narodu była mu gorączką, we śnie widziadłem jedynem. Nie opuszczała go chociaż ból duszę szarpał, lub rozkosz ciało pieściła.

Po mgłę porannej chłód i wilgoć zostaje. A mgła poranna i godziny nie trwa. Życie jego długie było i ciężkie. Sto lat pracy, sto lat nadziei, tyle cierpień i tyle zwycięstw. I co zostało — nic! Bagnisko plugawe cuchnie, jak cuchnęło niegdyś.

Niby ten, co życie spędził beczynnem, bez troski i ukochania, na sen wieczny nie z sobą poniesie. I patrzy w życie swoje jak w jamę czarną, w której nie niema okrom gorzkiego zawodu.

Widzi jasno i w życiu nie już więcej nie ujrzy, że naród chciał z błota ulepić, że dla ducha swojego, który miał jaśnieć przez wieki w blaskach sławy, cnoty, mądrości, wybrał naczynie zbrukane kałem, wybrał gadzinę, od własnego jadu ginącą.

— Więc — kołacze strapienie w biednej, siwej głowie patriarchy — więc niepotrzebniem ich ruszył

z Egiptu. Bez cnoty wielkiej niema narodu; jest gromada niewolników, wiecznej niewoli godnych.

Zapadła noc czarna. Mężowie izraelscy w namiocie zgromadzenia w trwodze i zgrozie czekają, rychło-li Pan ogniem błyskawic, łoskotem gromów przemówi do narodu upadłego.

Ale niebo milezało, a na ziemi szalała rozpušta. Cicho szemrze łkanie starszyny w namiocie zgromadzenia, głośno i daleko rozlega się uciecha gminu izraelskiego w Syttim.

Słońce ukazało się znowu. Niema na niem płam żałobnych, na niebie nie płoną łuny krwawe. Słońce jasne jest i wesołe. Pieszczotą promieni swoich budzi życie.

Na pustyni spokój, nawet wiatry przycichły.

Na wschodzie, daleko, piętrzą się nieruchome, niby we śnie jeszcze pogrążone, wierzchołki gór. Na północy czernieją lasy cieniste. Na południu bezbrzeżna, spiekłym piaskiem świecąca pustynia. Na zachodzie siwy obłoczek ęmi lazur nieba. To Chanaan obiecana! To para wód Jordanu!

Żegnaj na wieki! Tak blizka, a tak daleka jesteś, ziemio przodków! Nie dzielą już od niej góry i morza, nie dzielą lasy i włócznie wrogów — a jednak... żegnaj na wieki! Nie ujrzy cię naród izraelski, w łożnicach moabskich śpiący teraz po nocy rozpustnej.

I minął dzień ten, i noc nadeszła i zajaśniał poranek trzeci.

Występek wzbierał jak rozszalałe wody powodzi. W zelżywość poszedł zakon Pański, i ołtarze Pańskie i kapłani Pańscy. A głowy narodu izraelskiego chyliły się nisko przed świątnicami Baalowemi.

W namiocie zgromadzenia coraz ciszej. Mojżesz i sędziowie izraelscy i wszyscy starsi ludu izraelskiego siedzą bez ruchu i czucia, bez snu i pokarmu.

Nagle rozległ się głos jeden — brzmiało w nim złoto i srebro młodości, a żelazo siły.

— Mężowie izraelscy, stoję tu dzień trzeci. Trzeci dzień już ramię moje i włócznia moja czekają rozkazu waszego. Trzeci dzień już dajecie szaleć rozpuście, a kusicie popędliwość Pańską.

Mojżesz odjął drżące dłonie od oblicza swojego i zamglonem okiem chciał rozpoznać twarz młodzieńca.

— Kto jesteś? — zapytał głosem gasnącym.

— Jam jest Finees, syn Eleazara, syna Aarona, kapłana.

— Czego chcesz?

— Zemsty i kary.

— Zemsty i kary? — głucho i cicho powtórzyły omdlewające wargi Mojżesza.

— Zemsty i kary — zagrzmiały potężnie usta Fineesa. — Zemsty, bo nam zwyciężyć nie dali, kary, bo obrazili Pana i bluźnią!

Cisza zapadła wśród starszyny izraelskiej. Oczy, ku ziemi opadłe, nie widzą ognia w zrenicach Fineesa, nie widzą gniewu i zapału w twarzy jego, nie widzą, że ramię jego drga, pragnieniem czynu targane. Myśl ich osłabła i ciało mdłe; boją się patrzeć i boją się chcieć. Mojżesz znowu twarz przystonił. Inni czekają słów jego, ale on milczał.

I znova rozległ się głos Fineesa:

— Na rozkazy wasze czekam, mężowie radni.

— Czego chcesz? — wyszeptał Mojżesz.

— Krwi występnej! — silniej od trąby zahuczały piersi Fineesa, i słyszeć było gniew wezbrany i niecierpliwość.

— Krwi... krwi...

Mojżesz poruszył dłoń, jakby odsunąć pragnął widzenie natrętne. Na obliczu jego świecił strach i błaganie.

— Nie... krwi nie... — powtórzył.

— Więc jakaż jest rada wasza i jaki rozkaz wasz? — nastawał młodzieniec.

— Siądź z nami i błagaj Pana o litość a miłosierdzie nad ludem swoim, i ofiary mu sprawuj, skoroś silny.

Pociemniało oblicze Fineesa, jako niebo cie-

mnieje przed burzą. I legła na nie ciemna chmura gniewu wielkiego.

— Modlitwa wasza pusta jest jak niwa nieobsiana, nie się z niej nie narodzi, jeno oset a cierń. Co Panu po modlitwach i po ofiarach waszych. Syty on jest całopalenia baranów i łożu tłustego bydła, a krwi cielców, i baranków i kozłów nie pragnie. Kadzenie jest mu obrzydliwością.

— Bluźni, bluźni — zaszemrała starszyzna izraelska.

Ale mowa Fineesa przechodziła w nawalność wichru.

— W miłosierdziu wielkim trzy dni już miarkuje Pan zapalczywość swoją i czeka, aż rękoma własnymi zetrzecie zelżywość i hańbę ludu izraelskiego.

„W boleści wielkiej zmartwiały dusze wasze i zapomnieliście, że w niebezpieczeństwie nie płakać, lecz ratować trzeba... Przeto przychodzę i budzę was.

„Wróg chytry sidła zastawił na Izraela. I uplątał się w sidła naród Pański. A w myśli swojej nawiązał wróg, że nim się Izrael wypłatać zdąży, już go prawica gniewu Pańskiego na ziemię powali i zdusi. A gdyby zły wróg tu przyszedł i pomocy chciał od was, czegooby żądał? Zali nie płaczu i opieszałości waszej — i teście mu sami dali,

mężowie radni! Przeto przychodzę i błagam was, ojcowie moi, i ojcowie ojców moich, biegnijcie ku wspomózeniu narodu Pańskiego. A gdyby bieg wasz szybki był jako bieg strzały, jeszcze na czas nie zdążycie; gdybyście piorun wyprzedzili, jeszcze za późno przyjdziecie.

— Więc — odezwał się głos ze zgromadzenia — czemu popędliwą mową swoją przerywasz i macisz myśli nasze, ku ratunkowi zwrócone?

— Bo nieszczeście wielkie, przepaść niezgłębiona, a myśl wasza poza światami. Bo gniew Pana jest naciągnięty, jako cięciwa łuku, i palec na niej już położony.

„Pomnijcie, mężowie wybrani, że skoro nieprawość startą zostanie, usłyszycie straszny głos Pana, i pytać was będzie: „Coście zrobili z narodem moim? Postawiłem was na straży jego, a zginąć mu dozwoliliście?“

„Pożar już belki objął i podwaliny ogarnia, a nim radę waszą skończycie, jeno kupa głowni i popiołu zostanie. Niechaj myśl waszą i wolę waszą szał ogarnie; niechaj cierpliwość wasza zadrży, jak drży ciało moje i dusza moja, a Izrael ocalony będzie!

Mojżesz rękę wyciągnął, jakby Fineesa z przed oblicza zgromadzenia odsunąć pragnął. Twarz jego spokojna była i poważna, a słowa powolne.

— Jesteś jako szakal i jako lampart, po pustyni swobodnie skaczące, a my, jako juczne bydła, do ciężkiego wozu wprzęgnięte. I chcesz, abyśmy zdążyli za tobą. W ręce nasze złożył Bóg terażniejszość i przyszłość ludu swojego, zwątpienie i troska jest codzien pokarmem naszym. Czyn opatrny z długiej i ciężkiej myśli się rodzi, a pospiech jest nasieniem błędu. Nie uniesienia młodości dni twoich, lecz woli Pańskiej słuchać będziemy.

„Kto mało widział, miary nie zna i nie wie co do czego stosować. A twoja siła z doświadczenia płynie. Lotu myśli twojej pamięć nie miarkuje.

„Przelana krew braci jako zła rdza na rękach osiada, a duszę jako ogień żywy pali. Wiele krwi izraelskiej przelało się za żywota mojego, za wolą moją. I boję się krwi braci moich i brzydzę się nią. Stary jestem i słaby i nie wiem, czy wieczór dnia dzisiejszego oglądać będę, a ostatniej godziny życia krwią mierzyć nie chcę. Idź, idź ztąd! Pozostaw nas z modlitwą naszą i z boleścią naszą. Błagaj Pana o miłosierdzie, boś zgrzeszył.

Finecs złożył ręce swoje na piersi i mówił zwolna, a każde słowo jego było jak grom niebieski.

— Przekleństwo i kara Pańska niechaj spadną na głowy wasze. Wam Bóg powierzył lud swój, a wyście go do zgorzenia i ohydy przywiekli.

Wam Bóg czuwać kazał nad imieniem i szczęściem jego, a wyście mu dali w zbrodni urastać! Wam Pan dał naród krnąbrny i twardą ręką wieść go nakazał po ścieżkach Jego. A nie wyście go wiedli, ale on ciągnął za sobą rękę waszą. A gdy do zguby doszedł, nie macie ku ratunkowi jego ani rady, ani mocy, ani woli — za występki gnuśność swoją Panu ofiarujecie. Niema ułomności, którejby Pan nie zesłał na członki wasze; niema krost, którychby Pan nie rzucił na głowy wasze, i piersi wasze i plecy wasze; niema dolegliwości i cierpienia, którychby Pan nie posłał na kości wasze. A co was minie, spotka synów waszych i córki wasze. I oglądać nie będziecie ani zdrowia, ani szczęścia ich. Niechaj zaraza wypłeni pola wasze i mór niechaj wytłucze wszelki dobytek wasz. Niechaj Pan odda was w ręce wrogów waszych, a oni niech będą bez litości, a wy igraszką ich! Czego pożąacie niechaj zmarnieje, a czego lękacie się niechaj zjedzie i plon wyda, jako trawa w ciepłe i wilgoci! Słyszycie mnie! Niechaj głos mój brzmi w uszach waszych aż do skonań! A przekleństwo niechaj jak płaczka zawodzi przy grzebaniu ciał waszych!

„Jesteście jako zły pasterz, przeto was Pan ręką swoją od stada odgania. Zostańcie w hańbie i zelżywości, a ja idę sprawiedliwość czynić. Krew,

którą przeleję, niechaj spadnie na głowy wasze i na głowy dzieci waszych!

Szedł Fineses krokiem pewnym do drzwi namiotu, ale progu nie przestąpił, bo tam stał Mojżesz. A rozpalony węgiel w kuźni nie pała blaskiem takim, jak pałała żrenica jego.

I opadały ku ziemi powieki młodzieńca.

A wszelka niemoc i słabość wszelka opuściła Mojżesza; stał patriarchy wielki i potężny, jako w dzień on, kiedy groził Faraonowi, rozkazywał morzu i twarz w twarz z Panem rozmawiał.

I wyciągnął Mojżesz palec w twarz Finesesowi i wołał:

— Stój!

Młodzieniec stanął.

A Mojżesz mówił:

— Ktoś jest ty, co idziesz sprawiedliwość czynić pomiędzy ludem moim? Czy cię Pan wezwał, czy lud postawił? Zkąd się wzięła śmiałość w głosie twoim, a pycha w sercu twojem? Mów przedemną, a mówisz przed Panem!

Przed głosem tym pod górą Horeb drżał lud cały i góra drżała, teraz zgromadzenie drżało i drżał Fineses.

— Czyś ty lud mój z ziemi egipskiej wywiódł, że chcesz mu być sędzią a katem? Czyś ty zakon mu dał? Czyś ty mu ziemię przodków po-

kazał? Czyś ty mu był jako ojciec i matka, których cierpienie i trud nie opuszcza, a radość i pociecha nie nawiedza?

„Ten w życie bliźniego godzić może, kto to życie ponad swoje własne ukochał i boleje nad niem sercem rodzicielki, dziecko tracącej.

„Ten krew bliźniego przelewać może, kto czuje jak krew ta z serca uchodzi, jakoby jego była. A kto zabija bez miłości i boleści, jest jako morderca i zbójca.

Zapuszczam oko do głębi serca twojego, a tam nie okrom dumy nie masz, a duma zapali pożar, w którym zginie życie i dobytek.

„Chodziłeś na przedzie szeregów moich do zwycięstw, ale w zapamiętałości dumy swojej nie dostrzegłeś, żeś ty był ręką, miecz dzierżącą, a ja byłem głową, co ręce daje i wiedzę, i siłę i zwinność.

„Przeto ukryj w prochu oblicze twoje i łzami oblewaj nogi moje, bo Pan ręką swoją wyrwie cię niby kąkol z pomiędzy narodu mojego i precz odrzuci.

Ale Fineses nie padł na twarz. Głowa jego wzniosła się wyżej i śmiałą żrenicą uderzył w oczy patriarchy.

— Stareze! — słowa jego padały jak młot pada na kowadło — tedy myślisz, żeś w serce

swoje zabrał całą miłość narodu, a poza sercem twojem niema jej. Tedy myślisz, że ty tylko możesz być ludowi ojcem i matką, a bez ciebie on sierota? Myślisz, że naród Pański nie przeżyje ludzkiego żywota twójego?

„Tyś go wywiódł z ziemi niewoli; tyś mu dał zakon i ojezyczną; tyś mu był światłem i ciepłem, pokarmem i napojem, osłoda i pociechą, imię też twoje wielbione będzie do końca dni ludu izraelskiego. Ale na chlubę swoją hańby nie rzucaj. Kto przez lata długie błogosławieństwem był, niechaj u grobu przekleństwem się nie stanie.

„Starcze, wśród narodu Pańskiego nie jedno jest serce, co nadzieje i przyszłość jego ukochało nad życie i szczęście własne, nad życie żon i nad szczęście dzieci swoich; co krew jego nad krew własną miłują, a niedolę jego czują jako ranę ciała swojego. Wśród braci i wśród synów twoich dużo jest takich, co oczy swoje w Chanaan wlepili i radości nie znają, którejby dla ziemi tej nie oddali, i bólu nie znają, którego by dla niej nie zniesli. Wiele jest dusz, w których dusza narodu mieszka. A ty zagarnąć pragniesz, co Pan szczerą ręką dla szczęścia narodu swojego hojnie rozrzucił.

„I ja oko swoje zapuszczam do wnętrzości duszy twojej; widzę tam popiół zimny i widzę tam niemoc, widzę upór bez władzy i pychę bez siły.

Cugli narodu w rękę utrzymać nie zdołasz, a oddać ich nie chcesz. Oko twoje nie widzi, i ucho nie słyszy i język mówić nie może, a nie chcesz znieść głosu i wzroku innego.

„Gdy naród Pański popadł w obrzydzenie niebu i pohańbienie ziemi, tyś był bezwładny i niemy. A skorom ja zawołał: idę czynić sprawiedliwość, idę lud ratować! tyś zadrzał o władzę swoją i rozwiązał się język twój, i zajaśniało oko twoje i majestat powrócił. Jak teraz próg mi zastępujesz, tak stoisz na drodze tym, co ludowi przewodzić chcą, od zguby odciągnąć i do Chanaan prowadzić.

„Starcze, ustąp, albo Pan ręką swoją cię odtrąci!

Wyciągnął młodzieniec naprzód rękę swoją.

A Mojżesz drżący i osłabły osunął się na ziemię całym brzemieniem ciała swojego. I, wskazując na piersi swoje, mówił:

— Nie pójdiesz mordować ludu mojego, nie pójdiesz mordować braci swoich, dopóki do serca mego drogi nie otworzysz i bicia jego nie przerwiesz.

A wznosząc zamglone źrenice ku niebu i drżące ręce ku Panu, wołał:

— Wielkie są grzechy żywota mojego i wielka nieprawość moja przed Panem, ale niech mi

darowane będą, bom bronił krwi narodu mojego i życie moje oddał za życie braci moich.

Nie śmiał Finees odtrącić patryarchy. Wielka niecierpliwość kurczyła twarz jego, wstrząsała członkami jego, ale progu przestąpić siły nie miał, dłonią czoło ścisnął, a oko jego za namiot wybiegło, ku Syttim, z kądem zgiełk i wrzawa uciechy występnej dochodziły.

I ujrzał Finees Zamrę, syna Salowego, a z nim szła Kozba, księżniczka moabska. On ją obejmował ramieniem, a ona śmiała się do oczu jego, i nie widzieli nic około siebie. A rozkosz ich ku namiotowi wiodła.

Wyciągnął Finees rękę swoją ku nim.

— Patrzcie — wołał — tu aż przyszli lżyć Panu i wam uragać. Ten ci jest, co na oczach moich pierwszy zgrzeszył i braci swoich do upadku przywiódł. Pan go tu przysłał, aby słowom moim moc nadał na przestrożę dla uporu waszego. Słuchajcie głosu Pańskiego!

Mójżesz dzwignął słabe ciało swoje, siwą głowę ku występny zwrócił i patrzył, gdy do namiotu Salowego weszli.

* * *

Resztką sił opuściła ciało patryarchy. Ostatnim wysiłkiem ducha szukał Pana i pytał:

— Co począć?

Strapione oblicze zgromadzeniu pokazał, jakby i tam ratunku szukał. Ale nigdzie światła nie dojrzał i rady nie usłyszał.

Raz jeszcze powieki podniósł i gasnące oczy na obliczu Fineesa zatrzymał. I był niby konający, który nadziei nie ma, a ratować się pragnie.

Omdlałe członki jego opadły bez ruchu na próg namiotu, a ucho młodzieńca pochwyliło szept cichy, którego nikt inny dosłyszeć nie mógł:

— Idź!...

* * *

Finees zniknął za zasłoną namiotu Salowego, a gdy wyszedł, włócznia jego krwawą była, a Zamry i Kozba nie wyszli nigdy.

Wezwał wtedy Finees Jozuego i wszystkich, co w obozie izraelskim zostali, pokazał im włócznię krwawą i wiódł ku zemście a sprawiedliwości.

Wielka trwoga padła na występnych; rzucili łożnice żon moabskich, i wstydu pełni, do obozu wrócili.

Dzień nie minął, a rozległo się po pustyni trąbienie zwycięstwa! Syttim upadło przed ludem izraelskim.

Poznał Mojżesz, że Finees był przez Pana wybrany, a cnota jego gniew niebios zmogła.

I rozradowała się po raz ostatni dusza patriarchy radością wielką. Wyszedł, aby błogosławić tym, co po zwycięztwie wracali. Drżące dłonie wyciągnął i Fineesa przyzywał.

Stanęli przed Mojżeszem Jozue i Kaleb, a na rękach ich leżało martwe ciało młodzieńca. Oblicze jego spokojne było, a serce strzałą przeszyte.

Chwycił stary patriarcha głowę młodzieńca w dłonie swoje i tulił do piersi swoich, jakby była głową straconego syna najukochańszego.

Ostatnie łzy Mojżesza spadły na martwą głowę Fineesa, a usta jego szeptały:

— Nie zginie naród mój, bo Pan błogosławięństwo szczodłą ręką rozrzucił w serca ludu wybranego. Niech będzie Imię jego wielbione.

A zwróciwszy się do Jozuego, położył ręce na głowie jego i rzekł:

— Skoro tamten nie żyje, ty będziesz po śmierci mojem wodzem ludu Pańskiego.

FRAGMENT.

Co się stało z pieśniami waszemi, piewcy Grecyi: o ubóstwie, o skromności, o wiecznej wiosnie ludu waszego? Gdzie dziś wiara wasza, gdzie natchnienie? Zaklęcia wieszczów nie powstrzymały pędu życia! Szare skały wybrzeży zajaśniały śnieżnymi blaskami marmurów; z prostoty dziadów szadzono, a życie Hellady chyliło się ku wieczorowi. Liść po liściu schły i opadały gałązki oliwne i zielń wawrzynu, a wynurzały się spróchniałe szczyby ruiny. Umiano jeszcze mówić pięknie, ale już nikt radzić nie potrafił; umiano jeszcze myśleć, ale już nikt do czynu zdolnym nie był.

Na rynkach oratorzy klęli się na przeszłość promienną, a wam się zdawało, że przyszłość narodu, co w Termopilach ginąć niegdyś potrafił, z wielkich dzieł składać się musi, że skarleli synowie olbrzymów w każdej chwili zapału niebo i ziemię zadziwić zdołają roztropnością i męstwem.

Naiwni, zapomnieliście, że wśród gruzów pieśń ponurą puszczyka jedynie usłyszeć można. Dni sławy, jak zdrowie, raz utracone, wracają czasem tylko, a poprzedzić je musi pokuta długa, cierpienie bez miary i poświęcenie bez granic.

Mieszkańcy Elidy bogatego Kaliasa mienili mędrcem, dla którego świat nie ma tajemnic: umie zaćmienie przewidzieć, umie choremu poradzić, wie, u jakich mórw jakie plemiona wyrosły z deukalionowych kamieni. Ale Kalias wstrząśnieniem głowy przeczył temu mniemaniu. Milczał — i z milczenia sława mu urosła. Milezał, bo w duszy jego tysiące pytań domagało się odpowiedzi, jak głodne tłumy chleba, a wiedział, że nikt ich zaspokoić nie zdoła. Uchodził w ciche ustronia, na brzegi morskie, do gajów świętych, na szczyty urwisk dzikich — i myślał; ale samotne dumania rozpałały tylko, jak gorączka, mózg jego, a głosy wewnętrznej walki stawały się coraz dokuczliwsze. Rzucił się w wiry narad publicznych. Dokoła rozlegał się śmiech weselości albo szalała zaciekłość demosu. Uniesieniem drżał głos mówców, lud pienił się i wył. Usta nastarczyć nie mogły słów pieriom wezbranym, nogi unosiły się do góry, jakby je ziemia parzyła, ręce gotowe były miażdżyć palce własne.

Kalias wzruszał ramionami. Pojąć nie mógł łatwowierności ludzkiej, zrozumieć pustoty, która bałamuci siebie i innych. Wszystko to już było: wszystko stare jak rodzaj człowieczy. Sto i dwieście lat potem będą też same zachwyty, taż złość, toż złudzenie. A tymczasem życie jednostek i narodów pełznie swoją koleją. Kto myśleć potrafi, a omamień dobrowolnych unika, tym ani radość, ani gniew, ani smutek owoładnąć nie jest w stanie. Początek i kres życia nieznanne i niedostępne!

I Kalias czuł się niby kropla oliwy w morskich przestworach.

Nie mógł przylgnąć do żywiołu, który go otaczał. Samotność i obcość, jak pętla wisielca, ścisnęły go coraz mocniej i mocniej. Wśród ludzi tęsknił do ludzi. Zagłębiał się w pergaminy z pieśniami poetów, badał dzieje, chciał duszę swoją napoić uczuciami, któreby go połączyły z narodem jego. Napróżno! Ze wszystkich wrażeń wypełzało w końcu męczące, jak zmora, pytanie: cóż z tego?

Zwiedzał święte miejsca przeszłości greckiej: Maraton, Plateję, Salaminę; błąkał się wśród kolumn i posągów Akropolu. Chciał się nauczyć podziwiać męstwo hoplitów, czcić zasługi bohaterów. Wszystkie usiłowania jego uderzały o nieubłaganą, nieugiętą wątpliwość: na co zwycięstwa? Co ze sławy tryumfów? Czyby inaczej słońce świeciło, gdy-

by koło historii w inną stronę losy skrzyły? A gdyby inaczej — co z tego? Czy znany i kierunek i kres?

Wiele olimpiad minęło, nowe pokolenia się porodziły i wiele wypadków przemknęło; jedne zapisała historia, inne przechowała pamięć ludzka, inne zginęły na wieki w zapomnieniu. Kalias wewnętrznego wroga nie zmógł, ale czas krew mu ostudził. Pochylił się ku ziemi, broda mu zbieleła, czoło się posunęło, objęło całą głowę i świeciło niby pożółkła kość słoniowa; okalał je tylko srebrzysty wieniec włosów.

Oczy mu się przyćmiły, ale patrzeć umiały tem bystrzej i dalsze ogarniać przestrzenie. Patrzył na sprawy ludzkie jak świadek bezstronny, któremu ani jednej chwili nie odjęło wzruszenie — to też przeniknął wszystkie tajniki życia. Z twarzy, jak z marmurowego posągu, nie schodził mu nigdy uśmiech łagodny. Oddalał się coraz bardziej od świata i teraz patrzył na bieg spraw jego jak na potok, kłębiący się pod nogami, ale ani ich woda nie dosięgnie, ani piana nie obryzga.

Widział szlachetne uniesienia i niegodziwy podstęp. Widział tajne sprężyny ruchu zbyt drobne i mizerne, by ludzie chcieli w nich uznać istotne przyczyny dziejów. Widział w sercach straszne pragnienie mordy, które jedne narody rzuca na drugie;

widział słabość gnębną przez przemoc; widział powodzenie kłamstwa i tajone bóle cnoty łekliwej; widział nędzę, niedolę, rozpacz, fałsz i obłudę. Ale z twarzy nie schodził mu nigdy uśmiech łagodny.

Od wieków tak samo płacze się życie.

Aż o uszy jego obito się doniosłe echo głosu, który dotąd stłumiony szeptał tylko w zaułkach. Potężniał, jak zbliżający się dźwięk trąb tyrsenckich, szerzył się, jak płomień wśród traw wyschłych, głuszył wszystko dokoła. Kalias zadrzał po raz pierwszy w życiu — to *potwarz* tryumfowała! Przygaste oczy starca zajaśniały łzami. Stało się, czego dokonać nie zdołały wysiłki życia całego. Nie wzruszyły go przeszłość i sława Grecyi, a teraz płakał nad pewną jej zgubą.

.....

ZA SPRAWĄ MIŁOŚCI.

BAJKA *).

*) Bajka ta przerobioną została z powieści francuskiej
Paul'a Féval'a „*L'amour qui sauve*“.

Było to już bardzo dawno — najstarsi ludzie nie umieli mi nigdy powiedzieć, ile lat, ile wieków upłynęło; nikt też nie wiedział na pewno, w której to się stało parafii.

Grzechów mniej jeszcze wtedy ciążyło nad światem, a łaski Bożej było więcej i niebo od ziemi nie tak daleko. Pan Bóg prośby łatwiej wysłuchał i na sprawiedliwość nie trzeba było czekać aż do śmierci...

Wszystkiego było poddostatkim: w powietrzu ptactwa, ryb w rzekach, w lasach grzybów i zwierzyny. Na łące i na polu najwyższy chłop z koniem się chował; a zboże było gęste, że sierpa nie wbił się i kłosa się od samej ziemi zaczynał. Dzisiaj z kłosa ledwie kilka ziarenek wyluszczysz, a między łodygami wozem przejedziesz.

Ale też i gniew Boży wisiał niżej.

Człowiek tylko był zawsze jednaki. Gdy kara

spadała — płakał, gdy Pan różgę odejmował — grzeszył. Więc chociaż słońce jasno świeciło, chociaż pola rodziły bez pracy, choć choroby i wojna mijały, nie było szczęścia na tej ziemi...

Każdy myśli serca swojego przed bliźnim tań, a na ustach kładł tylko kłamstwo a zdradę. Czy się wielu zeszło, czy jeden sam z sobą rozważał, wszędzie i zawsze pełno było zawiści i twardej zawziętości. Człowiek na człowieka patrzył z podełba, jakby wszysej mężobójcami byli.

* * *

Cudowna Matka Boska stała na górze wśród lasów...

Lasy i lasy! Z poza nich słońce wschodzi, za nie zapada. Z nich wysuwają się drogi i w nich giną. Rzeczka też z lasu się pokazuje, zatacza koło, zawraca, skręca kilka razy, wiję się, jak gdyby drogę swą przedłużyć chciała — i dobrze wygrzać się na słońku — wreszcie, niechętna, zanurza się w chłodny, ponury cień drzew.

W lecie rzeczka cicha, łagodna, usłużna. Wąziutka jest wtedy i płytka, ustępuje ludziom gruntu pod uprawę i kamieniom z dna pozwala raz jeden na rok zaznać ciepła i suchości.

Co wiosna i co jesień wzbiera, ciemnieje z gnie-

wu i huczy; nie zazna wówczas od niej żalości ni człowiek, ani też żadne stworzenie.

Nikt nie wiedział, kiedy i kto zbudował kaplicę Matce Boskiej. Ludzie myślą, że to musiał być bogacz wielki, bo kaplica duża i wysoka. Przenajświętsza Panienska stoi na murowanym słupie, w niebieskim płaszczu — jak żywa. Ręce skrzyżowała na piersiach, głowę pochyliła i patrzy z uśmiechem na tych, co się pod Jej obronę uciekają — łaskawa. Nad głową Jej jaśnieje dwanaście złotych gwiazd...

Dawniej, bywało, co sobota, kto żyw w okolicy przychodził nad wieczorem na litanię i suplikacye. Echa lasów powtarzały słowa prośby gorącej. Zachodzące słońko rzucało przez okno blaski drgające i przysiągłbyś, że się Matka Chrystusowa radowała ze szczerości ludzkiej, tak jej oblicze jaśniało...

Na ścianach od góry do dołu ofiary: serca z wosku, krzyże z cyny, wieńce i welony.

Ale teraz w kaplicy cisza przez całutki tydzień. Tylko muchy brzęczą, pająk na nie z kąta do kąta siatkę przeciąga. Wieńce poschły, kurz zbrukał welony.

Oblicze Matki Boskiej coraz mocniej chmurnieje...

* * *

Jeszcze stary Jan, co ma chatę na drugiej górcie, po tamtej stronie rzeczki, pamięta inne czasy. Nieraz opowie, jak Matka Boska z kaplicy wyciągnęła rękę i błogosławiła dwu wrogom, co się u Jej stóp wyrzekli złości, a serca swoje otworzyli dla miłości i zgody.

Stary Jan żyje dawnym obyczajem. To też ludzie mu urągają, jak zawsze sprawiedliwemu. Więc i on stroni od ludzi. Jak nie jest na robocie w lesie, albo na roli, siedzi w chacie.

Nikt tak nie umie, jak stary Jan, barci uszykować.

Ośm krzyżyków dźwiga na spracowanych barkach, a na siwej głowie nieszczęścia życia całego. A im droga do trumny krótsza, tem zmartwienie dokuczliwsze: co po śmierci jego pocznie wnuczka, jedynaczka Lada?

Urodziwa jest i hoża. Umie i strawę ugotować i izbę przystroić i bydłat dopatrzeć. Nitkę ze lnu uprzedzie od jedwabiu cieńszą. Krosna pod jej ręką jak organy grają. Staremu dziadusiowi dusza się raduje.

Komu ją zostawi? Czy tym ludziom co się złemu zaprzędałi? O innych nie wie — lasy świat zasłaniają!

Żeby gadzinę w sercu nosił, mocniejby go nie gryzła. W dzień nie ma spokoju, w nocy snu, i wie,

że choć się do mogiły położy, odpoczynku nie znajdzie, jeśli jego jedynaczkę krzywda ludzka nękać będzie.

* * *

Razu jednego stary Jan zabierał się do zaciągnięcia ula na sosnę, gdy go zeszedł niedźwiedź. Staruszek skoczył, schował się za sosnę. Niedźwiedź zaryczał gniewnie, wstał na tylne łapy, a przednimi drzewo objął, białe kły i czerwoną paszczę pokazał. Pazurami chciał Jana dosięgnąć i dokoła drzewa za nim krążył.

A pod Janem dygotały kolana, a w oczach świat się mienił. Sił mu zabrakło, czuł, że zaraz padnie...

Nie boi się pazurów zwierzęcia, tylko pamięta, że Lada sama na złym świecie zostanie.

Ale Jan był sprawiedliwy, a oko i ręka Boska bliżej były, niż dzisiaj.

Ostry topór roztrzaskał kudłatą głowę zwierzęcia.

Przed Janem stał młodzieniec nieznan. Głową pomiędzy gałęzie sosny sięgał. Potężnych ramion niedźwiedźby się uląkł. Na rumianych policzkach kwitło mu zdrowie. Z oczu poczciwa radość nie zdołała całkiem jeszcze spędzić przestachu...

Stary Jan zbawcy swemu dziękował i poprowadził do chaty.

Lada, ujrawszy gościa, pokraśniała. Gdy usłyszała, że dziadusia uratował, dziękowała ze łzami, w jasnych, jak kwiat chabrowy, oczach.

Młody Jurek przyszedł w te strony szczęścia szukać.

Pod lasem zaczął sobie chatę budować. Ale szło mu to nie sporo, bo mu w chacie starego Jana dobrze było. W oczach Lady kwitnęło szczęście, jak róże i tulipany...

Jurek ożenił się z Lada, a starego Jana zaraz potem śmierć zabrała. Umarł spokojny o wnuczkę-jedynaczkę.

Niech mu światłość wiekuista świeci, bo sprawiedliwy był człowiek!

* * *

Jurek i Lada żyli bardzo szczęśliwi, bo jedno kochało drugie nad szczęście własne. Czas im schodził na pracy nieustannej, a krzywda ludzka nie zaciężyła nigdy na ich sumieniu.

Ale minął rok jeden i drugi, a w chacie na górze za rzeczką nie było słyhać kwilenia dziecka.

Jurek się często zamyślił smutnie. Lada ni z tego ni z owego pokraśnieje, do komory ucieknie i wraca z czerwonemi oczyma.

Widać ich smutek jakiś nurtuje.

Jurek idzie do roboty i myśli:

— Zawsze moją niebogę w chacie samą zostawiać muszę; żebyśmy mieli dziecko, byłoby matce pociechą, mnie radością, a ob- jgu na starość podporą.

A Lada w chacie przedzie, łzy biedna kułakiem otrze i w głowie wciąż jedną żalność przesuwa:

— Znowu poszedł mój jedyny. Nie mam żywego obrazu jego oczątko ukończonych, nie mam koło siebie drobnego serduszka; nikt nie uśmiechnie się do mnie, nikt rączką nie wyciągnie!

Raz wrócił Jurek z roboty i zaraz od progu zaczął:

— Trzeba, żebyś ty, Lado, coś dla Matki Boskiej do kaplicy utkała. Możeby welon ładny? Co?

Lada się uśmiechnęła, wbiegła do komory i wyniosła welon gotowy, biały jak śnieg, przejrzysty jak mgła letnia.

Nazajutrz Jurek cały dzień przy robocie rozważał, jak to w dobrej myśli mężczyzna nie wyprzedzi nigdy kobiety.

Panienka Przechylna ofiarę wdzięcznie przyjęła i za biały welon dała Jurkowi i Ladzie maluchnego synka.

Jeszcze się więcej kochać poczęli...

* * *

Śliczny był letni poranek!

Słońce grzało, ale nie paliło... Ptactwo szezebiotało i lasy szumiały, tak łagodnie, jakby matka nuciła nad kołyską usypiającego jedynaka.

Jurek wcześniej poszedł do lasu. Lada, słaba jeszcze, wzięła na ręce niemowlę, aby je zanieść do kaplicy Matki Cudownej.

Zeszła z góry ostrożnie, po kamieniach przebyła rzekę. Woda sączyła się cicho po piasku, a promienie słoneczne migotały w niej jak złoto; w tem złocie igrały gromady drobnych rybek.

Lada w kaplicy złożyła synka u stóp Matki Boskiej i sama usiadła na ziemi, aby odpocząć, bo już sił więcej nie miała.

Dziecko spało, a ona odpoczywała długo, długo... Dobrze jej było i błogo w tej ciszy kaplicy, w tem ciepłe letniego słońca, w spokoju i zadowoleniu...

Lada myślała o szczęściu swoim, o Jurku ukochanym, o dziadusi nieboszczyku, a najwięcej o tem, co synka małego kiedyś spotka na świecie. I w sereu jej macierzyńskim urosło wielkie pożądanie szczęścia dla dziecka!

Zaraz, w tej chwili chciała coś zrobić, aby mu je zapewnić.

Niemowlę właśnie otworzyło czarne oczki po

śnie. Wzięła je na ręce i z dzieckiem u łona poczęła gorącą modlitwę:

— Maryo, Matko! dałaś nam to drogie małeństwo. Tobie je oddaję. Miej je pod swoją obroną, wspomagaj i ratuj! Niech będzie sprawiedliwy, jak dziaduś nieboszczyk, dobry jak mój Jurek, szczęśliwy jak ja z nim i z ojcem jego!

Wejrzyj na niego, Święta Panienko! Tobie jest dany — nazwę go Bohdan, a ubierać będę w kolor nieba, jak ty ubraną jesteś...

Wejrzyj na niego! (Lada powstała i wzniosła syna wysoko) abyś go poznała w dniu, kiedy pomocy Twojej zapotrzebuje!

Od progu kaplicy odezwał się silny głos Jurka:

— Maryo, Matko! wysłuchaj tej prośby.

* * *

Nic już teraz nie brakowało Jurkowi i Ladzie.

Bohdan miał włosy jasne, jak matka. oczy czarne, jak ojciec i zawsze nosił błękitne sukienki.

A tymczasem grzechy ludzkie miarę przebrały i nadszedł dzień sądu.

Nocy jednej rzeczka wystąpiła z brzegów. Pieniła się i wyla, jak zwierzę, co klatkę zdruzgotał, łańcuchy porwał i wściekły pędzi na oślep... Wiatr huczał, pioruny biły, deszcz lał potokami...

Jurek i Lada wyszli przed chatę i słyszeli krzyki tonących. W ciemnościach nocy straszny był ryk burzy, ale rozpacz i przekleństwa ludzkie straszniejsze...

O świetle woda zalała już górkę i wpadła przez próg do kaplicy.

Górka za rzeczką była wyższą. Ale fale rzucały się wciąż wyżej i wyżej. Morze bezbrzeżne pędem wichru sunęło do nóg Jurka i Lady, uderzyło o nie toczącym się na przedzie wałem burej piany, a za chwilę już kolan sięgało...

Jurek i Lada schronili się na dach chaty.

Wszystko dokoła zniknęło, woda uniosła lub zatopiła. Ocaleni oni jedni. Sterczał także nad falami wierzchołek kaplicy.

Nieszczęśliwi krzepili swoje serca nadzieją, że się może potop zatrzyma.

Woda szła wyżej...

Lada jedną ręką obejmowała szyję Jurka, drugą przyciskała synka do piersi. Wicher targał jej włosy jasne, a błękitne jak kwiat chabrowy oczy, błędne z przerażenia, krążyły dokoła, nadaremnie upatrując ratunku.

— Jurku drogi! — mówiły blade jej wargi — umrzemy razem...

— Nie — odrzekł mąż.

— Nie! — krzyknęła kobieta — chcesz nas opuścić?!

— Nie! — powtórzył.

Woda tymczasem wznosiła się coraz wyżej, odnalazła na dachu ostatnie ofiary swoje i szybko szła po nie...

— Trzymaj mocno Bohdana — przemówił Jurek — i wdrap się na moje ramiona, pomogę ci...

Lada silniej zacisnęła rękę na szyi męża. Teraz zrozumiała.

— Nigdy! Nigdy! — wyłkała.

— Prędko! Tak trzeba... dla dziecka! Może się woda zatrzyma... Żegnaj, ukochanie moje, ja zginę!... Obyś ty chociaż ocalała... A powiedz mu, niech czasem wspomni ojca...

Lada nie opierała się już. Ledwie zdążyła stanąć na ramionach męża — zniknął pod falą...

Placz rwał jej piersi, z całej siły przyciskała do siebie dziecko.

Woda sięgała już jej piersi.

— Stań na moich ramionach — przemówiła do syna — i trzymaj się mocno!

— Matusiu!...

— Prędko!... ja tak chcę!... Może się woda wreszcie zatrzyma. Obyś ty chociaż ocala!... Żegnaj, synku mój, jedynaku mój, a wspomnij kiedy o ojcu i matce...

Więcej mówić nie mogła, bo jej woda usta zalała.

Nad falami wznosiła się już teraz tylko jasna główka Bohdana i kawałek jego błękitnej sukienki.

* * *

Właśnie w tej chwili Matka Boska Cudowna opuszczała przez szczytowe okno zalaną kaplicę, aby odlecieć do nieba. W połę płaszcza niebieskiego zabrała z sobą wszystkie ofiary.

Wzniósłszy się nad spienione fale potopu, rzuciła okiem dokoła i dostrzegła rozwiewane przez wiatr jasne kędziory Bohdana i niebieską fałdę sukienki.

— To dziecko też przecie do mnie należy; zabiorę je z sobą...

Ujęła delikatnie za jedwabiste kędziory, myśląc, że łatwo uniesie małość... Ale dziecko było ciężkie nadspodziewanie, tak ciężkie, że Matka Boska Cudowna rzucić musiała do wody wszystkie ofiary: woskowe serca, krzyże cynowe i welonny lniane. Wtedy dopiero obiema rękami dźwignęła dziecko i dziwić się przestała ciężarowi jego... Nóżki Bohdana krzepnącemi palcami mocno ścisnęła umierająca Lada; matki trzymał się ojciec.

— O! — wykrzyknęła Marya, wzruszona i rozradowana, widząc ten nierozzerwalny łańcuch serc. — Znalazłam Trójcę świętych na ziemi!

I w połę płaszcza niebieskiego zabrała ojca z matką, matkę z synem: trzy miłości w jednej miłości, której na imię: *Rodzina*.

~~~~~



G. † M. † B.

(LEGENDA).



Choć pastuszkowie do szopki betleemskiej przyszli ze śpiewkami i muzyką, choć każdy co miał w darze Panu przyniósł — niekontent był Józef z tych odwiedzin.

Staruszek po drodze odpoczynku potrzebował. Od tyłu głosów w uszach mu trzeszczało. Uboga była szopka, ale schludna — pasterze zdeptali podłogę, narobili nieporządku i jeszcze patrzeć trzeba było, żeby który czego nie ściągnął, choć co prawda, nie tam nie było, bo nawet mały Jezus całej pieluszki nie miał.

Ale że staruszek był zły ze zmęczenia, więc wszędzie zło widział. Na pastuszków nierad spoglądał, dreptał koło żłóbka i zrzędził:

— Nie mogli to jeden z drugim do jutra poczekać. O! Dzieciątkoby spało i jabym spał. Pędziwiatry, po nocach się tłuką!...

Mały Jezusek nie kwili, ale się uśmiecha i rą-



czki wyciąga — śliczny jak malowanie, wdzięczny jak baranek. Matce Przenajświętszej w sercu tak ciepło, że radaby świat cały zwołać i radość a dumę swoją pokazać.

Złożyła Marya jedynaczka z kolan na sianko pachnące i odeszła na stronę do Józefa. Wzięła go delikatną rączką panięńską za brodę i prosi:

— Mój Józefie, nie gniewaj się, wszakci to oni z kolędą do syna mojego, który się począł z Ducha Świętego, przyszli.

Ale Józef święty ofuknął:

— O! piękne mi kolędniki, same pastuchy! Kiedy ma być królem świata całego, to królowie królewskie dary znosić powinni.

Jezus Chrystus wszystko to słyszał i wszystko rozumiał. Myśli sobie tak:

— Milsza mi radość prostego serca, niż podarunek bogaty. A w majestacie Boskim każde serce uczeiwe w klejnot się zmienia. Stada swoje opuścili, snu swojego nie żalowali, a przybieżeli mnie powitać. Ale trzeba i staruszkowi uciechę sprawić: sprowadzę królów z darami królewskimi, aby mi pokłon oddali...

I zajaśniała nad szopką betleemską gwiazda. A nikt nigdy od stworzenia świata gwiazdy takiej nie widział, ani człowiek żaden, ani naród żaden. Nikt też po skończeniu świata takiej już nie ujrzy.

A teraz oglądali ją ludzie po wszej ziemi, od zachodu aż do wschodu słońca.

Piękna jest gwiazda zaranna, bo w promieniach jej przelewają się blaski szafirów, rubinów i brylantów; światło jej czyste jako woda rzeźwiąca, a jako sen spokój w duszę ludzką wlewa — ale gwiazda betleemska piękniejszą była.

Oglądali ją wszyscy po wszej ziemi, lecz tylko ludzie czystego serca cudem wiedzieli, co blask jej zwiastuje. A ludzie złego serca niepokój czuli i bojaźń, lękając się dnia sądu Pańskiego.

\* \* \*

Czystego serca byli trzej królowie z dalekiej krainy, poza murami i górami, gdzie w zimie ziemia biała od śniegu, a w lecie złota od kłosów, a wino i cytryna tam nie dojrzewa.

Jeden z nich, co się zwał Kacper, wziął złoto, drugi, Melchior — myrrę, a trzeci, Baltazar — kadzidło i poszli w drogę do betleemskiej szopki.

Zaraz na pierwszych rozstajnych drogach wszyscy trzej się spotkali. Oddali sobie pokłon głęboki i szli dalej razem, a jeden drugiego o nic nie pytał, bo wszyscy w jasną gwiazdę na niebie patrzyli — i wszystko widzieli i wszystko rozumieli.

Ciężkie były ze złota i jedwabiu szaty kró-



lewskie i złote korony na głowach ciężkie. A nadto cięższy wiek na barkach zgarbionych, bo włosy ich białe jak przędza lniana i białe brwi krzaczaste nad oczyma i brody białe, pasa sięgające. Różno jednak kroczą trzej starszki, bo ich jasność gwiazdy ciągnie do siebie jak pożądanie serdeczne, jak szczęście największe.

Czasem który przystanie, pochylone ramiona rozprostuje i znowu brodę naprzód wystawi, kijem po ziemi stuka — a idzie i idzie...

\* \* \*

Aż doszli tak do szerokiego Dunaju i proszą ludzi, aby ich na łódkach przewieźli.

Zbiegli się ludzie z wielu wiosek, bo chcą oglądać niewidzianych podróżników. Jak mrowie otoczyli trzech dostojników, a najstarszy gospodarz jął pytać:

— A zdaleka ojcowie dążycie?

— Zdaleka — mówi Kaeper — kamieniem tam nie dorzuci i w jeden dzień najhyższy koń nie zbiegnie. A kraina nasza niebogata, bo powietrze mroźne, a ziemia wiele potu ludzkiego potrzebuje, aby ziarno rodziła. Częściej tam płacz usłyszycie, niżeli wesele. Ale za to ludzie, w pracy i smutku wzrosli, krzepcy są jako wiatr północny, a jako

poranek zimowy zdrowi; i prawdę znają, bo z biedą jako z żoną sypiają.

Ludzie głowami kiwają, bo o krainie takiej nigdy nikt im nie powiadał.

— A dokąd ojcowie? — pytają dalej.

— Do Betleem, gdzie się Pan świata w ubóstwie narodził; idziemy, aby mu cześć oddać i dary ofiarować.

— Pan świata w ubóstwie się narodził? — powtarza mrowie ludzkie i dziwi się.

— A nie widzicie — pyta Melchior — gwiazdy, co na niebie jaśniej od słońca świeci?... Ona nam zwiastowała.

— Oj, widzimy, widzimy, ale czy to prostak zrozumie, a nikt nam powiedzieć nie potrafił. U nas wszyscy myślą, że będzie koniec świata.

— To chodźcie z nami... — zaprasza Baltazar.

Ludzie głowy pospuszczali, jeden na drugiego spojrział.

— Gdzie nam tam, biedocie, w taki świat się puszczać — prawi za wszystkich gospodarz najstarszy. — Jadła i napoju by nam nie starczyło i w drodze byśmy pomarli. Ale skoro, starszki, do Pana świata dojdziecie i od nas go pozdrówcie i powiedzcie, że i my u nas, nad Dunajem, w prostactwie naszym, przybycia królestwa Jego czekamy. A jeźliście łaskawi, zanieście i od



nas te dary, które z wdzięcznem sercem dzieciątku składamy.

I jeśli ludzie znieść co kto w chacie znalazł: witki lnu cienkiego, i sery i masła, gomółki i obrázky i jajka. Dziewczyna jedna, co nie w skrzyni nie miała, korale z szyi zdjęła i od koralu krasniejsza, ostatnie bogactwo swoje dla Chrystusa oddała.

Pobłogosławił ją Kacper, pobłogosławił Melchior i Baltazar, a dziewczyna była niby krew i mleko.

Ale królowie zabrać nie mogli wszystkich darów, więc im ludzie z nad Dunaju dali wóz drabiasty i parę koni. A wóz się nappełnił bogactwem wysoko, jakby sianem i nawet staruszkowie przysiąść nie mogli, aby czasem w drodze odpocząć.

— A jak wracać będziecie — prosili jeszcze ludzie — to wstąpcie do nas i opowiedzcie, coście widzieli i słyszeli.

\* \* \*

Poszli trzej królowie i bez przygody przybyli do szopki betleemskiej.

Jak się ptactwo wschodowi słonka raduje, tak rozradował się Józef cieśla, gdy majestat królewski

na progu swoim zobaczył. A mały Jezus cieszył się z radości opiekuna swojego.

Cieszył się też Jezus mały z darów królewskich, bo widział, że ze szczerego serca są przyniesione. A kiedy oczy jego ujrzwały dary prostaczków, niby siano wysoko na wozie złożone, silnie zabiło drobne serduszek i drobne rączki z uciechy wielkiej zaklaskwały, twarz się śmiać poczęła, a w czarnych oczętach dwie łzy, jako dwie gwiazdki, zaświeciły...

Wyciągnął dłonie i objął niemi białe głowy królów sędziwych i tulił je do zgrzebnej koszulki ubóstwa swojego, i błogosławił im i śmiał się i płakał ze szczęścia...

Bo w małej główce jaśniała mu wielka myśl radosna.

— To są słudzy moi najlepsi! W złocie i purpurze chodzą, a serce ich wolne jest od pychy i pełne dobroci. Duchem bożym podzielili się z rzęsą prostactwa i posługi im nie odmówili i stali się sługami ubóstwa. Niemasz w ich sercu ani wzgardy, ani zawiści. Ich ręka łyzy z oka bliźniego nie wyciśnie, a dusze ich otwarte dla brata, jak miłosierdzie przedwieczne dla rodzaju ludzkiego.

I znowu wyciągnął Jezus ramiona i garnął do siebie gości drogich i nacieszyć się nie mógł radością swoją.



— Gdy zakon nowy stanowiąc będę, pamiątką wieczną dzień ten radości mojej naznaczę. Kapłani moi białą kredę rok rocznie rozdawać będą. A kto kredę w rękę swą weźmie i imiona tych sług moich najlepszych na drzwiach domu swojego nakreśli, ten w przymierze ze mną wejdzie.

Od progu jego ubogi nie odejdzie ubogim, strapiony — strapionym. Kto potrzebować będzie szaty, da mu szatę, kto chleba — chleba, kto ducha jego i ducha mu da.

A serce jego pysznić się nie będzie przed bratem ani z dostatków, ani z cnót, ani z rozumu. A kogo świat skrzywdzi, ten w nim znajdzie przyjaciela i pociechę. Pamięć jego o niedoli ludzkiej uczyni go sługą nędzy.

Jako on bliźniemu, tak ja uczynię jemu. Błogosławić będę jemu i dzieciom jego, domownikom i dzieciom domowników jego.

A kto białym znakiem drzwi swoje opatrzy, a nie otworzy ich przed ubogim, a nędzę spotka niecierpliwością gniewu, ten będzie jako faryzeusz, którego szaty czyste, ale ciało zbrukane. Gniew mój zawiśnie nad głową jego.

Tak będzie aż do ostatniego dnia świata.

\* \* \*

Trzej królowie niedługo w Betleem bawili, bo droga do ich kraju daleka. Idą wolniej, bo kości stare przypominają ile dni, ile godzin trwa podróż.

Muszą też iść wolniej, bo po drodze patyki i deszczułki zbierają. Na popasach jedne do drugich pasują, radzą, zbijają i kleją. I ukleili szopkę taką akurat, jak w Betleem widzieli. Ustawili żłobek i woła i osła. Z chleba i ciasta ukleili postaci Józefa starego i Maryi Panny i Jezusa maleńkiego na sianku.

A kiedy Dunaj przeszli, zwołali też samo mrowie ludzkie, pokazali im co zrobili i rzekli:

— Taka ci jest szopka, w której się narodził Pan świata. Oglądajcie!

A potem nauczyli ludzi z za Dunaju pieśni, którą anioł pasterzom, a pasterze Jezusowi śpiewali.

A kiedy się ludzie napatrzyli, trzej królowie rzekli znowu:

— Weźcie tę szopkę, abyście ją pokazać mogli sąsiadom waszym i sąsiadom sąsiadów waszych. Obwieście ją po kraju całym i śpiewajcie pieśni anielskie, aby kto cudu nie oglądał — widział go; kto pokłonu nie zaniósł — oddał go.

Ponieśli ludzie szopkę do sąsiadów i figury trzech królów do niej wstawili: Kacpra, Melchiora i Baltazara. A sąsiedzi taką samą sobie szopkę uczynili i ponieśli ją do sąsiadów swoich. I ponie-



śli ją do sąsiadów swoich. I wiele szopek nad Dunajem ludzie pokazywali.

A kiedy rok minął, przypomnieli sobie królów - podróżników i wszyscy szopkę oglądać zapragnęli.

I tak trwa aż po dzień dzisiejszy.

---

## PÓLPOŚCIE.

(LEGENDA).



Było to już w tych późniejszych czasach, kiedy po świecie chodził święty Piotr ze świętym Janem apostołem. Niemało oni ludziom dobrego zrobili, niejednego nauczyli pożytku, dobrym pociechę przynieśli, a na złego, co się krzywdą bliźniego poił, ciężkie sprowadzili skaranie.

Idą sobie tedy święty Piotr i święty Jan apostoł z południa na północ, minęli węgierską ziemię, przeszli przez wysokie góry, co się nazywają Karpatami; idą dalej. Wiatr dmuchał im w oczy, ale że był ciepły i miękki, więc im nie dokuczał. W bruzdach, gdzieniegdzie, białą jeszcze ostatnie grudki śniegu, a na zagonach zieleniały już pierwsze źdźbła tegorocznej trawki. Aż odezwał się święty Piotr do świętego Jana:

— Wiesz — mówi — Janie, tak jakoś czezość czuję, pono jeść mi się chce.

— I mnie to samo — odrzeczcie Jan.



Podniósł głowę do góry i zaczął szukać dookoła, czy gdzie nie ujrzy bądź dymnika, bądź dymu. I w rzeczy samej zobaczył rozlażące się po niebie smugi czarniawego dymu. Święci pańscy przyspieszyli kroku i wkrótce weszli do wioski.

Biedna była wioska: chałupy odrapane, chlewki zwalone, płoty połamane, a błota po kolana. Ze wszystkich kominów buchał dym jak z kuźni.

Święci pańscy pozatykali wnet nosy. Nawet nie próbują wejść do żadnej izby; spieszą po błocie dalej. W całej wiosce nic, tylko olej czuć. Dziedzice niebiescy do wonności kadzideł anielskich przywykli, znieść nie mogą tego zapachu. Jedna chałupa stoi na uboczu, od niej olej nie zalatuje, ale czuć cebulę i czosnek. I tę chatę odróżnił — nie przystoi świętym pańskim zaglądać do karczmy, i do tego żydowskiej. Dostali się wreszcie na pole. Staruszek Piotr święty wypuścił nos z ręki i całą pierś chwycił świeżego powietrza:

— A-a-a!...

A święty Jan dodał:

— Ale też co za ludzie, żeby się takim oleiskiem karmić!...

Więc zgromił go zaraz święty Piotr:

— A czemże będą na tej ziemi kartofle i kapustę krasić, a na nich ty nie mów, bo cnotliwi i bogobojni są, przykazanie Jezusa Chrystusa,

Pana naszego szanują i choć ciężko im i głodno — poszczą.

Naraz święty Piotr krzyknął tak, że aż święty Jan się przeląkł, sądząc, że co złego stało się księciu apostołów, ale mu Piotr święty powiedział zaraz:

— Toż to ja mam jeszcze w torbie kukurydzę, cośmy z węgierskiej ziemi dostali!

— A dajże ją ojciec, daj — zawołał gwałtownie Jan święty.

Staruszek podał towarzyszowi worek, ale sam nie jadł.

— Czemu ojciec nie je? — zapytał Jan święty.

— Bo mi surowa kukurydza szkodzi. Ucieszyłem się, bom sobie nie zaraz przypomniał.

Nie mógł jeść święty Jan, kiedy towarzysz jego głodny nie jadł i szli dalej. Tuż za borem znowu wioska, okopcona dymem.

Staruszek wskazał na jedną chałupę, tak zapadniętą, że dach na ziemi się opiera. Z dymnika, na którym tylko resztki gliny zostały, nie kurzyło się weale.

— Może karczma żydowska? — powiedział Jan święty trochę już zły.

— A, zobaczyć trzeba.

Podeszli święci Pańscy... nie nie czuć, ani



oleju, ani cebuli z czosnkiem. Wącha Piotr święty, wącha Jan święty apostoł — nic nie czuć...

No, dobrze, szukają podróżni drzwi, nie widać, aż znaleźli schowane pod dachem, całe w ziemi. Zgięli się i weszli do izby. Ciemno, dopiero trochę poczekawszy zobaczyli, że gospodarz siedzi przed stołem na ławie, wielką czapkę nacisnął na oczy, ręce położył na stole, jedną w kułak zwinął, w drugiej ścisną łyżkę. Widać zły strasznie. Gospodyni stoi przed kominem i oczy fartuchem brudnym zasłania. Na kominie sam popiół, iskierki ani na pokaz. W kącie na tapczanie troje dzieci przytuliło się do siebie i wytrzeszczyło oczy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Pan nasz — odezwał się Piotr święty.

— Na wieki wieków. Witajcie — odmruknął gospodarz takim tonem, jakby gościom niespodziewanym życzył jakiego nieszczęścia.

— Jesteśmy podróżni — mówił staruszek dalej — przyszedliśmy do was, może się posilić dacie.

— A ot macie — mruknął znowu gospodarz, spoglądając na komin — pełne garnki stoją, to weźcie.

— Czy to u was taka bieda?

— Et, co tam gadać dużo, we wsi tyle bogaczów mieszka, do nich idźcie.

— Mam ja tu trochę kukurydzy, cośmy ją

jeszcze na węgierskiej ziemi dostali. Weźcie-no, matko, i ugotujcie, zjemy wszyscy razem.

— A jakże ja ugotuję, kiedy ani drzewa, ani garnka?

— Chyba bym tę drugą ławę porąbał — odezwał się gospodarz.

— A po garnek skoczyłabym do zdunichy.

— A no, skoczcie matko — powiedział Jan święty, apostoł.

— A dobrzy ludzie niech siadają — poprosił gospodarz, biorąc się do rąbania drugiej ławy.

Długo, długo nie wracała baba z garnkiem, aż nareszcie wróciła bez garnka.

— A co matko? — zagadnął ją zaraz Jan święty apostoł.

— Obleciałam wszystkie chałupy, żadna nie chce dać garnka, nawet skorupy rozbitej, bodaj im tak ziemia święta...

— Nie klujcie kobieto — przerwał jej Piotr święty — Jezusa Chrystusa, Pana naszego, nie gniewajcie.

— A to czego — wystąpił chłop — oni nam chleba kawałka żałują, kartofla jednego dzieciom dać nie chcą. Z głodu mrzem, dzieciaczyskom już kiszki kurezy, a znikąd pomocy. A przecieżem ja nie pijak, nie próżniak, nie łajdak ladajaki, ale nieszczęście i dopust Boży.



Święty Jan apostoł zapalił się gniewem strasnym. Ale Piotr, jako że był starszy i wyrozumialszy jął pytać i rozważać dalej.

— A o tedy, czemu was sąsiedzi opuścili?

— A czemu pies zdycha, jak zęby połamie, węż straci i nogi powykręca? Nic od nas nie potrzebuja, to i dać nie chcą.

— To u was we wsi niema ani bojaźni Bożej, ani miłosierdzia?

— O! jak który biedny, to bardzo miłosierny i wie, co przez Boga nakazane, ale niechno sam dać potrzebuje... to zawdy zapomni.

— A cóż wy biedni ludziska robić będziecie dalej?

— A co, pomrzemy tu. Jak mi głód więcej złości napecha, to babę zaduszę, dzieciaki poduszę, chałupę podpale i sam się spale.

Chłop z całej siły siekierą o ziemię uderzył.

— Chodźmy Janie — powiedział Piotr święty do towarzysza — bo źle się tu dzieje i ukarać trzeba tych ludzi, co miłosierdzia nie znają dla biedy.

Poszli dziedzice niebiescy, zachodzili do każdej izby i Piotr święty z Janem świętym apostołem rozbijali miski i garnki, czy kto warzył strawę, czy już ją sobie na stole postawił; i wołali święci pańscy głosem wielkim:

— Nie będziecie jedli źli ludzie, bo nie zna-

cie miłosierdzia, bo Jezusa Chrystusa, Pana naszego obrażacie, odmawiając stawy bratu waszemu, do końca postu będziecie już głodni, abyście miłosierdzie poznali. Jak my wam garnki, tak Pan porozbija szczęście wasze, mienie wasze, żywot wasz, i zbawienie wasze, jeżeli wy syci będziecie, a wśród was choć jedno usta łaknąć będą.

Strasznie się przerażili ludzie, bo poznali w podróżnych moc boską. Zaczęli żałować i pokutować za grzechy swoje. A wieść o świętych podróżnych i garnkach pobitych doszła do wsi drugiej, ztamtąd do trzeciej i dalej, aż kraj cały się dowiedział. I postanowili ludzie, że raz na rok w półpoście po wszej ziemi jedni drugim wszelki statek potłuką i już do Wielkiejnocy do ust gotowanej stawy nie wezmą. A dzieć się to miało na pamiątkę i przypomnienie ludziom, aby miłosierdzie pośród nich żyło, aby biedny nie gorzkie słowo, nie zły wymysł, ale pomoc i ciepłe serce u bliźniego znalazł, aby głodny brat miał miejsce u komina brata swego.

Wiele wieków upłynęło, i wiele pokoleń pomarło, ludzie o miłosierdziu nie pomną — pozostał tylko pusty zwyczaj tłuczenia garnków.



## NIEPRZEJEDNANI.

Tkanka z dumań przed obrazem Ary-Scheffera:

„Kuszenie Chrystusa“.

---



Niby lampa wieczności tkwiło nieruchome słońce  
w lazurze sklepienia i zalewało Judeję potokami żaru letniego. A w Judei z końca w koniec cisza, jakby u progu stały kohorty rzymskie lub o miedzę grasowała zaraza. Cisza taka bywa też nieraz tam, gdzie myśl wielka dojrzeła. Ale ucho Judei oddawna przywykło już do dźwięków mowy i mieczów zdobywcy, zaraza daleko, a mężowie wszystkich pokoleń, niby straż wierna, otaczają rzymskich pretorów, przeszłości niepomni, o przyszłość, choć ciemna, nietrwożni.

Dziś sabbat. Cały naród, w cieniu alków szukając schronienia przed palącymi promieniami, dziękczynne modły śle Jehowie. Chyba jednak gorące powietrze, nieruchome jak wody martwego jeziora, nie puszcza dalej tych modłów, nie pcha w górę ku przedwieczności, bo w Jeruzalem duszno, jak w atmosferze bluźnierstwa. Może bluźnierstwem są



hymny dziękczynne narodu w niewoli. Po świątyniach doktorowie uczą bojaźni Boga i mądrości życia.

Słońce przygasало, tonąc w purpurowych blaskach zachodu. Wieczór coraz gęstszą oponą otaczał miasto, dobroczynnym technieniem łagodząc gorący oddech rozpalonych murów. W ciemniejących przestworach gwiazdy znaczyły swoje istnienie.

Omdlałe powietrze zaczęło drgać odgłosami półcichych szeptów, na ulicach zasnuły się ludzkie postacie, niby białe cienie na szarej oponie. Po ciszy śmiertelnej — szelest budzącego się życia.

Aż od środka miasta, od progów Zorobabelowej świątyni, wzniósł się okrzyk wielki i groźny, przekleństwami i szyderstwem nabrzmiały. To tłum pospółstwa, zgraja motłochu głosem i kamieniami ścigała ofiarę — męża, co zdawał się upadać pod ciężarem lat, czy znużenia, czy też bolesnych uderzeń i stokroć boleśniejszych słów.

— Precz, precz ztąd! — odbijało się u podnóża gór.

On szedł. Z ust nie wyrываło mu się złorzeczenie, ręce nie zaciskały się w mściwem uniesieniu. Z całej postaci tylko jakby wypływała i wznosiła się ku niebu skarga żałosna, niemy jęk: „cierpię!“

Obnażoną głowę pochylił ku ziemi, ręce opu-

ścił bezwładnie, wiatr rozwiewał mu długie włosy, co jak fala spadały na szyję i wiły się po twarzy.

Szedł wciąż. Zdwojone przekleństwa nie przyspieszały jego kroku. Kamienie, szarpiące szaty, nie skłoniły go do obejrzenia się. Prześladowców nie rozbrajało poddanie się ofiary. Nie zaprzestali jej ścigać, aż póki z poza ostatnich domków nie wyjrzała dzikość otaczającego je pustkowie, obleczona tajemniczą ciemnością mroku.

On, jak gdyby nie zauważył, że go wszyscy opuścili. Nagie stopy wciąż jednak sunęły po ostrych kamieniach drogi, powoli, omdlewająco... Odgłos złorzeczeń z każdą chwilą przycichał w oddali, stawał się coraz słabszym, przeszedł w szept ledwie dostyszalny, czasami wionął jeszcze żywszym tonem, niby dogasające ognisko, aż rozplynał się w powietrzu i zniknął.

Teraz była cisza, jak przed stworzeniem; żaden odgłos zewnętrzny nie drażnił ucha, i tylko nie zagłuszone w duszy złorzeczenia tłum brzmiały wszystkimi tonami bolesnego odczucia. Z za gór wyjrzał księżyc i rzucił przeciągły cień, co włócił się za wygnańcem nieodstępny, jak palące uczucie doznanej krzywdy.

On szedł wciąż. Oko ani razu nie podniosło się na otaczające przedmioty. Z wzrokiem, wbitym w ziemię, przyspieszał nawet kroku, jak gdyby



chciał prędzej uciec od siedzib ludzkich. Księżyc dobiegał najwyższego punktu sklepienia, kiedy stopy męża oparły się o podnóże gór.

Obejrzał się. Odległe teraz miasto tonęło niewidzialne w mrocznych przestworach, których wyżyny tylko i najbliższe kręgi migotały, słabo osrebrzone promieniami bladego światła. Przed nim piętrzyła się kamienna ściana gór. Zaczął na nią wstępować. Białą szatą, co dotąd zapomniana wlokła się od pasa do ziemi, osłonił się od nocnego chłodu i, nie odpoczywając ani chwili, wdarł się na sam szczyt.

Księżyc zbiegał ku zachodowi blady, jak gdyby zmęczony nocną wędrówką. Na wschodzie jaśniało. Niewidzialne jeszcze słońce purpurowym rąbkiem znaczyło krawędzie szczytów odległych gór. Światło wzrastało. Jasne smugi posuwały się wciąż dalej, ogarniając cały obszar widnokregu. Wierzchołki gór wyglądały teraz jak gdyby nakryte oponami ze śnieżystego atlasu, którego miękkie zgięcia pozwalały promieniom tworzyć łagodne przejścia od cieni do półcieni i światła.

Pod czarem uśmiechającej się natury, po posępnej ponurości nocy i jego czoło jak gdyby traciło surowe zmarszczki. Zwrócił się znowu ku miastu, które teraz przy drganiach niepewnego jeszcze światła, wyglądało jak zalotnica, kończąca resztki

balowej toalety. Uniósł nieco do góry wyciągnięte przed siebie ręce, usta szeptały niedosłyszane słowa przebaczenia.

Pod stopami roztaczał mu się wspaniały widok od fal morza Śródziemnego do gór, na których stał. Tyle siedzib ludzkich, tyle ukrytych dla świata zakątków i wszędzie cierpienie, wszędzie niedola, zgryzota, czujna jak sumienie, nieprzewyciężona jak konieczność... wszędzie rozpacz i wy-czekiwanie od niebios lepszej doli... Pod każdym, ledwie teraz dojrzanym dachem, kryje się boleść wielka jak świat.

Cały zatopiony w dumaniu stał i patrzył... Dusza wybiegła poza granice zakreślone oczyma i objęła świat cały. Wszędzie toż samo. Z każdego kawałka ziemi podnosi się jęk i zlewa się z innymi w jeden okrzyk szarpiący dusze, co czuć umieją: „cierpię, cierpię, ratunku!“ On słyszał ten głos, rozróżniał w nim każdy bolesny ton, bo mu padał na serce, jak krople żrącego płynu. Dusza jego jak gdyby widziała bezsilne szamotanie się ludzkości całej; widziała miliony rąk, wyciągnięte ku niemu:

„Ratuj nas, ratuj, bo sił niema do dalszych cierpień!“

Obejrzał się dokoła. Z pod namarszczonych brwi oczy rzuciły błyszczące spojrzenia, jak gdyby



wyskoczyć chciały i szukać ratunku; przebiegł wzrokiem wszystko widzialne i wszędzie były tylko martwe siły, nieczułe jak fatalność. Ręce mu opadły, przygasłe oczy zwróciły się ku ziemi, czoło pochyliło. Usiadł na sterczącej krawędzi głazu, oparł łokcie na kolanach, a twarz ukrył w dłonie i dumiał.

Dumał długo nieruchomy, zapatrzony i zastuchany w obrazy i dźwięki, jakie mu pamięć podsuwała. Pamięć wrażliwa jak lustrzana powierzchnia na przesuujące się obrazy, czuła jak arfa eolska na każdy podmuch życia. Ale z lustrzanej powierzchni widziadła ześlizgują się bez śladu żadnego, struny arfiane łona swe nadstawiają dla coraz to nowych pieszczot, niepomne dźwięków, co przed chwilą jęczały w ich drganiach, — jego dusza na wieczność zwiera w swej istocie wszystkie bóle widziane i słyszane.

Długo przesiedział tak zatopiony w zagadki ludzkiej niedoli, kiedy ciszę górskiego wierzchołka przerwał dochodzący z oddali głos:

— Jezusie, Jezusie!

Nie słyszał tego głosu.

— Jezusie, Jezusie! — rozbrzmiewało coraz donośniej.

Drgnął, podniósł głowę i spojrział zdziwiony. Nieprzebita dla oka mgła otaczała go ze wszech

stron. Z poza kłębiących się tumanów, przeciągającej chmury, dolatywało wciąż wołanie:

— Jezusie!

— Kto mnie woła? — wyszeptał.

Ostatnie dźwięki głosu ludzkiego, jakie słyszał, brzmiały mu w uszach nieustającym zgrzytem zaciekłości; to też tu, na pustkowiu, wołanie to przerażało go.

— Jezusie, Jezusie! — jak grzmot huczał potężny głos, teraz już blisko.

— Kto mnie woła, jestem!

Z gęstych fal mgły wysuwała się coraz to wyraźniejsza postać olbrzyma.

— Witaj! — rzekł przychodzień, stając przed siedzącym. — Niech będzie błogosławioną pierś matki, co życiem napoiła ciało twoje!

— Czego żadasz? — spytał Jezus, wstając i oprowadzając okiem po postaci nieznannej.

Ciemne, jakby zwęglone ciało wyrывało się nagie z pod strzępów odzieży. Muskularne i silne jak korzenie dębu ręce i nogi świadczyły, że twarzą da praca była ich żywiołem. Na czarnej twarzy ponuro odbijały białka oczu, chowających się pod nawisem czołem; zaciśnięte usta, kiedy mówił, pozwalają widzieć białe zęby i czerwone, niby krew płynąca, dziąsła.

— Jezusie, synu Józefa! — odezwał się gło-



sem trąby jerychońskiej — widziałem ciebie, kiedyś żrenicą, zapaloną ogniem proroków, wodził po tłumach i uczył miłości bliźniego. Widziałem, kiedyś z pierśią drżącą wzruszeniem, dzielił się resztkami chleba czarnego z nędzarzem podłym, od ludzi wzgardzonym. Widziałem, jak potem tłuszcza bezmyślna, uwiedziona fałszem nیکezemności, gnała cię z miasta, psom rzucając jadło, co miało twe życie zachować dla narodu judejskiego. Widziałem i przyszedłem tu, aby cię odszukać, aby ci podać rękę i być bratem!

Wyciągnął rękę, ale Jezus nie dał mu swojej; łagodne oczy jego z wyrazem niewiary patrzyły na dzikie kureze twarzy przychodnia.

— Kto jesteś?

— Jestem jeden z tych, co bunt podnieśli przeciw Bogu za to, że, nakazawszy cześć dla siebie, nauczył ludzi służalstwa. Ja i bracia moi w imię zgwalczonego przyrodzenia, w imię równości, starganej samem jego istnieniem, walczymy z nimi, wyklęci, jak ty wczoraj. Jego panowanie nad światem, jak powódź poczwarnych nieprawości czarną kałużą cuchnącej niewoli coraz to wyżej i wyżej pokrywa nasz naród. Przyłącz się do nas...

Jezus milczał.

— Milczysz?... Chodź ze mną do braci mojej.

— Nie.

Zdumienie rozwarło szeroko oczy przychodnia.

— Nie, nie! Jakto, więc ty nieczuły jesteś na naszą niedolę? Więc możesz bezczynny patrzeć, jak rzymski żołnierz zakutą nogą dławi ostatnie technie Judei; jak rozbestwione czeready faryzeuszów, te hieny na mogiłach ludzkich, sprawiają piekielne orgie i bratają się z ciemnością; jak pod okryciem praw boskich ostatnią kruszynę chleba wydzierają umierającemu nędzarzowi; jak jad nیکezemny sączą kropla po kropli w serce narodu!... Patrz, Judea ginie z piętnem hańby na czole; przechodzi we wspomnienie wieków, jak trup robactwem stoczony; połowa ludu mrze z głodu, a ty nie chcesz się z nami łączyć!? Chodź! Tam włożymy ludowi zemstę w serca, chleb w usta, a żelazo w ręce i piękną prawa boskiego ciemność!

Chciał pochwycić dłoń Jezusa, ale ten się usunął, wyciągnął rękę, jakby odepchnąć pragnął natręta, i głowę odwrócił.

— Idź — przemówił — i powiedz braciom twoim, że Jezus Galilejczyk nie przystanie do was, jak myśl Boża nie przystanie do czynu ziemskiego. Z oczu twoich, ze słów twoich widzę, że nienawiść i zemsta przepelnia serca wasze. Dla ludzi mam miłość tylko. Miłością chcę goić ich rany, a nie jątrzyć je techniem zawiści trującej. Idź...



Ale czarny człowiek stał nieporuszony i źrenice zdziwienia pełne utkwiał w twarzy Jezusa. Po chwili odezwał się, a głos jego cichszym był teraz.

— Miłość!?... Miłość tam, gdzie wiekowa nienawiść, gdzie walka stoczyła wszystkie węzły serdeczne, a coraz to boleśniej zaciskała łańcuch niewoli! Chcesz miłością zespolić drapieżnego wilka i owcę błędną, piasek brzegu i fale rzeki, co łono jego toczą? Chcesz, aby jasność dnia razem z ciemnością nocy istniała? Patrz! Dokoła, na całych tych przestworach grudki ziemi nie znajdziesz, małej jak oko skowronka, co na nią patrzy z wyżyny, aby nie była przesiąknięta potem, krzywdą ludzką. W sercach uciemionych wznicić trzeba głód zemsty wielki, jak te olbrzymy kamienne, aby zgrzytając zębami bieglej jak tygrysyce wściekle szarpać łona ciemieców i we krwi topić niedolę.

— Stój — zawołał Jezus, chwytając rękę olbrzymią, a na twarz wystąpiło mu przerażenie wielkie. — Słowa twoje straszniejsze są, niż sama zbrodnia zemsty. W ich sercach rozpalic trzeba ogień miłości większy, niż te głązy, większy nawet niż niedola, ogień miłości bezgranicznej, w którym spłoną nieprawości świata, a wszyscy zleją się w jedno ciało ludzkiej rodziny. Jak wszystkie wła-

dze duszy zlewają się w jedną wolę, tak ludzkie życie będzie wtedy jedną wolą Bożą.

— Gdybym nie widział łez w oczach twoich, myślałbym, żeś na ten świat urągać przyszedł. Idź, mów umierającemu z głodu o pięknościach cnoty. Miłość to zbytek szczęśliwych. Czy myślisz, że my porodziliśmy się z takimi poszpeconemi zawzięcia sercami?... Nam je bolesne jęki braci tak wykrzywiły, ociągnęły wiecznie cuchnącemi strupami, jak trąd, — bośmy kochali. Serca ludzkie trzeba znieczulić nadzieją zemsty, zahartować w zaciekłości, aby mniej były wrażliwe na boleść. Wtedy i pazury ucisku nie tak będą mogły głęboko zapuszczać w nie swe ostrza. A potem poznają dobrze przyczynę swej doli i nastanie dzień odrodzenia, dzień straszny, jak sąd biblijny, dzień sprawiedliwości.

Jezus poruszył głową.

— Fałszem plamisz usta. Tylko miłość da odrodzenie; tylko miłość zniesie ucisk; tylko miłość każe silnemu kochać słabego brata, dzielić z nim chleb i serce.

Wiatr rozwał chmury. W górze znowu żarzyło się słońce; na dole, wśród lasów i pustyń, słały się siedziby ludzkie: miasta błyszczące, spokojne wioski i smętne przytuliska samotników. Czarny przychodzień pochylił się; ręce wyciągnął w stronę



Jeruzalem; wzrok utkwiał nieruchomy gdzieś wśród szafasów nędznych, jak gdyby chciał dojrzeć i pokazać Jezusowi wszystko, co mu boleść sączyła w serce. W krwawych oczach jaśniała bezbrzeżna miłość ludu swego, gorzało współczucie dla nędzy.

— Patrz — wołał — patrz na świat! Tam ludzkość cierpi, szarpana wrogimi siłami; ratunek szybki jak myśl byłby jeszcze zbyt powolnym, bo każde mgnienie oka, to nieskończoność mąk, przyniatająca miliony swoim brzemieniem... Gdzie widzisz tam zaród miłości, z kąd wykrzeszesz choćby małą jej iskierkę? Niedola zrodziła i coraz to więcej wyradza nienawiści... Z kąd sprowadzisz tę miłość, z kąd przyjdzie ten ratunek na świat?

— Ztamtąd — rzekł Jezus, rękę i oczy wznosząc w niebo, a twarz mu jaśniała spokojem nadziemskim.

— Ztamtąd? Ja tam widzę tylko kulę, świecącą jak pieniądz złoty, co światem rządzi; pracuje na polach bogaczów, a bezlitośnie przepala nieokryte głowy biedaków...

— Nauczę ludzi — przerwał Jezus — wierzyć w Boga miłości, którego wypiastrowało serce moje, a Bóg ten zniesie nieprawości i królestwo swoje sprowadzi na ziemię. A wiara w niego i miłość dla niego każą ludziom zapomnieć zawiści i bru-

dnej chęci zysku. A nadzieja jego oglądania osłodzi cierpienia wszelkie i raj będzie na ziemi... Zaprawdę, zaprawdę, tylko to, co z miłości poczęte, owoc pożywny przyniesie, a to, co zemsta wypiastrowała, brudne i złe jest, jak myśl co się rodzi w chwili pokusy.

— Boga chcesz ludziom dać, Boga miłości, gdzie on? Czy zestarzały Jehowa, co naród nasz skazał na męki wiekuiste, łudząc, żeśmy wybrani? co surowością swej natury, gniewem kaprysów przez lat tysiące nękał ojczyznę naszą? Czy może rozpustny Jowisz, co żelaznem cielskiem swych legionów, jak wąż opasuje świat dokoła, jak wąż zatruwa go jadem zepsucia!... A może Moloch, zawsze zbroszony krwi posoką i zawsze krwi chciwy!... Weź tę bułkę, com ci przyniósł, mała jest, ale z serca dana, ale od ust półgłodnych odjęta, weź ją, boś ty głodniejszy. Kiedyś oddasz ludowi setnie pomnożoną, a lud ci życie zawdzięczy, bo on łaknący umiera.

Jezus odsunął podaną ofiarę.

— Błuźniesz! — wymówił głosem surowym — nie samym chlebem człowiek żyje. Weź swój datek.

Czarny przychodzień cofnął rękę powoli. Usta okoliły mu się zmarszczkami, jakby od bólu.

— Gardzisz... proroku miłości! Ja mściciel, nie zapamiętam ci tego!... Ja i bracia moi, widząc



cię wśród ludu, poznaliśmy odrazu, żeś ty taki, co prowadzić zdoła naród do zwycięstwa, że możesz zostać Aronem, Mojżeszem nowego świata i wyprowadzisz naród z niewoli cięższej. Chodź do nas, wśród nas znajdziesz serca, żadne śmierci za przyszłość narodu, znajdziesz głowy i ręce, chcące pracować dla odrodzenia — miecze i noże gotowe do walki śmiertelnej. Stań na naszym czele, a niedługo rzymska stopa kalać nie będzie Judei. Myśmy gotowi stoczyć bój zacięty, ostatni, krwawy jak wszystkie ofiary, albo zakopać się pod gruzami Jeruzalem, albo sztandarem wolności otoczyć całą ojczyznę. Jak widzisz świat ten cały dokoła, tak błogosławić cię będą ludzie tej krainy, będziesz ostatnim królem, królem wolności.

— Nie kuś mnie napróżno mamiłkami obietnic, co mają dla mnie wartość zuchwałych i bezrozumnych pragnień dziecka. Ja jestem królem i będę królem, ale królestwo moje nieprzywiązane do ziemi, ono w przestworach myśli, nieujęte granicami morza i gór, granicami narodu i języka. Miecz — to bezsilny oręż barbarzyńcy, znikomy, doczesny. Myśl moja podbije myśl świata całego i panować tam będzie... da szczęście światu bez kropli krwi rozlanej... wniknie do serca głębiej, niż wasz nóż bratobójczy, i zamieni go w świątynię czystą, — miłość cuda tworzy!...

Czarny człowiek nie słuchał więcej. Czoło porzyło mu się bruzdami cierpienia, oko zamgliło, i po ponurej twarzy stoczyła się łza, łza ciężka, gorąca, jak wyrzut skrzywdzonego. Zakrył twarz rękami, a wraz z głębokim westchnieniem wrywały mu się słowa:

— O Judeo, Judeo, nieszczęścia twoje stają się większe, niż złość wrogów twoich, bo prorocy twoi żyją w mglistych marzeniach pragnień niepochwytanych, a nie chcą ręki przyłożyć do twych ran serdecznych, zkaż z krwi potokiem codzien życia upływa.

— Umysł twój żąda zemsty skażony i dlatego zrozumieć słów mych nie możesz.

Oko Jezusa zaczęło drgać błyskami gniewu.

— Nie mogę, bo słowa twoje nie mają ziemskiej nagości, a oczy moje do ziemskiego błota przywykły, bo słowa twoje są dla mnie jak tajemnicze proroctwa kapłanów. Twoje chęci jak błękit niebieski czyste i jasne, ale niedoścignięte dla tych, których niedola przykuła na wieki do padółu płaczu, ale nie nakarmią, nie napoją, nie ulżą w biedzie, nie zagoją ran, ręką żołądka wyłobionych na plecach naszych, ale nie pozdejmują z krzyżów tych, których przemoc wroga tam zawiesiła.

— A zemsta wasza brudna?



— A nasza zemsta! To pochodnia ognista, co rozświeci drogę do sprawiedliwości, co nocne bankiety wyrodných oświeci łuną pożarów!... Chcesz z przepaści dzisiejszej niedoli zaprowadzić ludzkość do edeńskich rozkoszy, nie poszarpawszy nawet nóg!... Spróbuj skoczyć z tej skały i pozostań nie-naruszony, chyba może aniołowie twego Boga cię zniosą.

Na to Jezus głosem wielkim zawołał:

— Pocoś przyszedł duchu złości zatrwać mi spokój, kiedy uciekłem dumać samotny! Dziećmi ciemności jesteście i knowaniom waszym przyświeca duma piekielna, a zrodzicie czyny potworne, jak serca wasze. To też myśl moja i uczniowie moi, dopóki istnieć będą, po ostatnie świata krańce, bo słowa moje nie przeminą, ścigać was będą. Wypowiadam wam walkę, boście duchy ciemności! Gdziekolwiek założycie piekielną kuźnię waszych szatańskich sił, tam ja będę i myśl moja niszczyć was będzie... Idź i bądź przeklęty!

I poszedł czarny człowiek, ciężko, powoli... Odrącony, ściskając bez myśli chleb w ręku, którym się chciał podzielić. Raz jeden jeszcze odwrócił łzawe oczy, ale ta twarz, co dla całego świata miała uśmiech pociechy serdecznej, dla niego jednego drgała nieprzeblaganym gniewem; ta

ręka, co światu wskazywała nowego Boga zbawienia, pchała jego na potępienie; te usta, co miały światu ogłosić miłość bez granic, dla niego drgały przekleństwem...





SPIS RZECZY.

~~~~~

| | Str. |
|--|------|
| W ogrodzie oliwnym | 3 |
| Gawęda nocna | 9 |
| Na pustyni | 27 |
| Fragment | 59 |
| Za sprawą miłości (bajka) | 67 |
| G. † M. † B. (Legenda) | 83 |
| Półpoście (Legenda). | 95 |
| Nieprzejednani. Tkanka z dumań przed obrazem Ary- Scheffera: „Kuszenie Chrystusa“ | 105 |

Biblioteka Główna UMK



300020892474

12-

342085
5712

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

476099